



Penny Jordan



Pan na Bellfield

Special - „Szczęśliwa Gwiazdka”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Tutaj cię wysadzę, dziewczyno, bo jadę do Wicklethwaites Farm, a ty potrzebujesz do Rawlesden - poinformował Marianne woźnica, zatrzymując dwukółkę na rozstaju dróg. - Skręcisz teraz, a potem będziesz szła cały czas prosto, aż dojdiesz do miasta. Poznasz je z daleka po dymiących kominach Bellfield Mill. Tylko się nie zatrzymuj przy rezydencji Bellfield Hall.

- Dlaczego? - spytała niepewnym głosem, spoglądając na niepokojąco bladą twarzączkę maleństwa, które trzymała w ramionach. Musiała jak najprędzej znaleźć pracę. Samotna kobieta bez pracy i z dzieckiem może szybko znaleźć się w przytułku, o czym przekonała się na własnej skórze.

Bogaci mogą sobie wysławiać epokę edwardiańską i nowego króla na tronie, ale los biedoty pozostał taki sam.

- Mam na myśli właściciela fabryki. Tak, tak, od niejednego z tutejszych usłyszysz, że pan na Bellfield zdobył majątek w podejrzany sposób i że pozbędzie się każdego, kto okaże się na tyle głupi, by wchodzić mu w drogę. Zniknęła już stąd jedna młodziutka dziewczyna i nikt nie wie, co się z nią stało. Pewnie dlatego nie może znaleźć nikogo do posług we dworze. W każdym razie nikogo przyzwoitego...

- To brzmi niezbyt zachęcająco - przyznała Marianne, gramoląc się z wozu, a następnie odbierając z rąk woźnicy nędzny tobolek zawierający cały jej dobytek.

- Nadal zachodzę w głowę, dlaczego taka ładna dziewczyna jak ty szuka pracy w tych stronach.

Za dużo chciałby wiedzieć. Pewnie chce wzbogacić swój repertuar plotek, pomyślała. Uraczył ją już paroma opowiastkami o mieszkańcach miasta

i okolicznych farm na wrzosowiskach, i robił to z lubością. Ale wiadomo, życie w zapadłym, odcięty od świata fabrycznym osiedlu, w dolinie otoczonej wzgórzami Gór Pennińskich, nie obfituje w sensacje, dlatego mieszkańcy chętnie wtykają nos w cudze sprawy.

Szczupła twarzyczka w kształcie serca z dużymi brązowymi oczami ocienionymi czarnymi rzęsami lekko posmutniała. Woźnica nazwał ją „ładną dziewczyną”, ale chyba jej schlebiał. Gdzie jej tam do ładnej. Wilgotne włosy poskręcane w nieładzie, sfatygowane ubranie i wymizerowana, sina z zimna twarz. Była też stanowczo za drobna jak na panującą modę, która, stosownie do upodobań króla Edwarda, preferowała bujne kształty.

- Kiedy był pan tak uprzejmy i zaproponował mi podwiezienie - powiedziała grzecznie - wyjaśniłam, że mój niedawno zmarły mąż prosił przed śmiercią, żebym przywiozła jego syna tam, skąd pochodził, czyli tutaj.

- No to masz tu rodzinę.

- Ja nie. - Starła się, by jej głos brzmiał pewnie i spokojnie. - Mój mąż miał tu rodzinę, ale niestety, podobnie jak on, oni także umarli.

- To całkiem normalne, że mężczyzna chciałby mieć pewność, że dziecko pójdzie w jego ślady. Więc powiadasz, że on nie żyje?

- Tak... nabawił się gorączki i umarł - odparła lakonicznie, chcąc jak najszybciej zakończyć temat.

- No cóż, mam nadzieję, że uda ci się wkrótce znaleźć jakieś przyzwoite miejsce, dziewczyno. Chociaż z małym dzieckiem to nie będzie łatwe, a ty na pewno nie pójdziesz do parafii, żeby wylądować w przytułku - powiedział ostrzegawczym tonem, jakby nawiązując do jej myśli. - Tutaj nie wszyscy lubią obcych, zwłaszcza jeśli są biedni i ładni. A dziedzic, właściciel fabryki, to twardy i bezwzględny człowiek, i on ustanawia tu prawo.

Marianne, choć starała się zachować zimną krew, zadrżała na te słowa, ale kogo nie przeraziłaby perspektywa trafienia do przytułku?

Dreńczyły ją różne obrazy i zdarzenia, które chciała na zawsze wymazać z pamięci. Wmawiała sobie, że dźwięk, który pojawił się w jej głowie, nie jest rozpaczliwym wołaniem kobiet, które krzyczą z głodu i z bólu, a tylko wyciem zimowej wichury.

- Czyżbyś nie miała własnej rodziny?

- Wcześniej zostałam sierotą - odparła zgodnie z prawdą - a ciotka, która mnie wzięła na wychowanie, też już nie żyje.

- No cóż, pomyśl o tym, co ci powiedziałem - powtórzył woźnica, po czym ściągnął lejce i cmoknął na wychudzoną szkapę, by ruszyła z miejsca. - Trzymaj się z dala od Bellfield i jego pana, jeśli chcesz być bezpieczna.

I znów to ostrzeżenie przed fabryką i jej właścicielem... ale było za późno, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, bo wóz już zniknął w zasnutym deszczem mroku listopadowego wieczoru.

Podniosła tobołek i najszczelniej, jak mogła, owinęła peleryną dziecko, po czym stanęła mocno na nogach, żeby stawić czoło podmuchom wichury, i ruszyła przed siebie stromą, zrytą koleinami błotnistą drogą, która miała zaprowadzić ją do miasta.

Brnęła w zabłoconych po kostki ciężkich bucikach, wiatr targał jej wychłodzone ciało, a tania peleryna przemokła od deszczu. Woźnica uprzedzał, że w tych stronach zima przychodzi wcześniej i tylko patrzeć, jak pojawi się śnieg. Choć uszła niewiele ponad półtora kilometra, była wyczerpana, szczękała zębami, a dłonie posiniały z zimna. Niewielka ilość pieniędzy, które zaoszczędziła na podróż, poszła na jedzenie i wełniany kocyk dla dziecka, które tak troskliwie tuliła.

Woźnica, z poczerńiałymi pniakami w miejscach, gdzie kiedyś miał zęby, strzykający od czasu do czasu brunatną śliną od żutego tytoniu, nie był może najbardziej pożądanym towarzyszem podróży, ale ujął ją do łez swoją dobrocią i uczynnością. Zaproponował podwiezienie po tym, kiedy naczelnik stacji w Rochdale odmówił jej dalszej podróży i nie wpuścił do pociągu mimo jej błagań, żeby pozwolił kontynuować podróż, na którą miała bilet, choć w tej chwili nie może go znaleźć. Wykluczone, żeby o własnych siłach pokonała pieszo kilometry dzielące Rochdale od przemysłowego miasteczka, do którego zmierzała.

Kiedy tak zmagala się z bezlitosnym wiatrem, zza chmur wyrzał księżyc i oświetlił kanał w dolinie. Wzdłuż niego biegły tory kolejowe, którymi miała dotrzeć do Rawlesden. Zobaczyła dym wydobywający się z wysokich kominów zakładów przemysłowych. Ich właściciele zbijali majątki, natomiast dla pracujących tam ludzi stały się ponurym więzieniem dającym ledwie szansę przeżycia, ale nic więcej. Nigdy wcześniej nie widziała fabrycznego osiedla, nie miała pojęcia, jak się tam żyje. Ciotka, która ją wychowała, miała niewielki mająteczek w Cheshire, i tylko wiejskie życie znała Marianne, o miejskim nie miała pojęcia.

Kiedy dziecko zakwiliło, struchlała. Chłopczyk był głodny i taki słabiutki. W trosce o niego przyśpieszyła kroku, zsuwając się i ślizgając po błotnistej drodze, nie zważając na chłód i przenikającą do szpiku kości wilgoć.

W połowie zбочa droga ostro zakręciła i nagle przed Marianne wyrosła w ciemnościach masywna bryła imponującego dworu, którego widok zaskoczył ją, mimo że przecież szukała tego budynku. W świetle księżycy fasada wyglądała ponuro i groźnie, jakby rzucała wyzwanie każdemu, kto chciałby się zbliżyć. Bardziej przypominała fortecę niż domostwo. Dostępu do rezydencji broniły ciężkie podwójne żeliwne wrota osadzone w kamiennym

murze, światło księżyca padało na nieoświetlone okna, targane wichrem gałęzie drzew rosnących wzdłuż podjazdu dopełniały grozy. Nim Marianne przeczytała wyryty na frontonie wielkiej bramy napis „Bellfield Hall”, domyśliła się, że doszła do celu swej wędrówki.

Po wydobywającej się z jednego z kominów nikłej smudze dymu poznała, że dwór jest zamieszkały. Nic dziwnego, że woźnica nalegał, by unikała tak odstręczającego miejsca. Zadrżała i zwróciła się do popłakującego dziecka, żeby je utulić.

I wtedy to się stało. Wystarczył jeden nieuważny krok na błotnistej drodze, a potknęła się, skręciła kostkę i całym ciężarem zatoczyła się na bramę. Choć ból był nieznośny, zdążyła jeszcze mocnym uściskiem objąć maleństwo, żeby nie stała mu się krzywda.

Kiedy próbowała wyprostować się i podźwignąć na chorej nodze, omal nie zemdląca z bólu. Ale nie mogła pozwolić sobie na słabość. Nie teraz. Przecież sobie przyrzekła. Spojrzała w dół, w stronę miasta. Mogłaby tam się udać, tylko po co? Nie miała wyboru. Wyciągnęła rękę i nacisnęła ciężką metalową kłamkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pokonanie podjazdu i dojście do domu zajęło Marianne więcej czasu, niż przypuszczała, a potem jeszcze musiała obejść budynek i znaleźć wejście dla służby. Zapach dymu z kominów fabryki szczypał w gardło i w oczy, a cichutkie kwilenie niemowlęcia dowodziło, że i ono cierpi. Każdy krok przyprawiał ją o dojmujący ból.

Dopiero widok światła w oknie obok drzwi sprawił, że odprężyła się nieco. Tutaj, wbrew temu, co powiedział woźnica, na pewno pozwolą jej odpocząć i przeczekać straszną pogodę, a także ogrzać się przy ogniu choćby tylko na czas karmienia dziecka. Trzeba by całkiem nie mieć Boga w sercu, by w taką noc odprawić człowieka z kwitkiem. Milo mówił często z podziwem o mieszkańcach doliny i o ich wielkoduszności. Biedni, ciężko pracujący ludzie, z którymi z dumą się utożsamiał. Pokazywał jej język gestów, którym porozumiewali się robotnicy ponad dźwiękiem krosien, opowiadał o słonecznych letnich dniach, gdy jako młody chłopak włóczył się po wrzosowiskach. Rozpaczliwie chciał tu wrócić, ale śmierć okazała się szybsza...

Sięgnęła do kołatki, ale nie zdążyła jej dotknąć, gdyż drzwi otworzyły się nagle, ukazując wnętrze dużej i zaniedbanej kuchni. Pojawiła się jakaś kobieta, pewnie gospodyni, jak pomyślała Marianne. Bo któż by inny nosił taki kosztowny strój, a mianowicie czepek obsyty bogato futrem i piórkami oraz pelerynę z podszewką, która wyglądała jak jedwab? Na pewno nie pokojówka czy kucharka.

Domniemana gospodyni trzymała w ręku skórzany kuferek, a zaczerwieniona i wykrzywiona ze złości twarz wskazywała na burzliwe pożegnanie.

Także mężczyzna, który otworzył drzwi, był wściekły. Wysoki i barczysty, o gęstych ciemnych włosach, patrzył na kobietę arogancko i pogardliwie. Zarówno jego wygląd, jak i zachowanie nie pozostawiały wątpliwości, że jest panem tego domu, a do tego w nie najlepszym humorze.

- Niech pan nie myśli, panie Denshaw, że wykpi się pan paroma pensami i że nie da mi referencji. Będzie pan musiał ponownie przemyśleć swoją decyzję. Jestem uczciwą kobietą, co każdy może poświadczyć.

- Uczciwą kobietą? Więc proszę mi powiedzieć, panno Micklehead, w jaki sposób taka uczciwa kobieta, która zarabia nie więcej niż dziesięć gwinei rocznie, może sobie pozwolić na czepek i pelerynę, które nawet na niewprawne męskie oko muszą kosztować dziesięć razy tyle?

Twarz gospodyni jeszcze bardziej spaşowiała.

- Dostałam je od pana Awkwrighta, u którego pracowałam, zanim tu przyszedłam. Powiedział, że mogę je wziąć w nagrodę za opiekę nad biedną panią Awkwright, dla której byłam taka dobra i przy której pozostałam aż do jej śmierci.

- Tak dobra, że biedaczka umarła z głodu i braku należytej opieki. A może i mnie chciałaś sobie podporządkować, panno Micklehead? Albo jeszcze gorzej, zważywszy na to, że nie masz bladego pojęcia o czynnościach, do których zostałaś zatrudniona.

- Najęłam się na gospodynię, a nie na służącą czy kucharkę. Przyszedłam tu z dobrego serca.

- Przyszedłaś tu, panno Micklehead, tylko z jednego powodu, a mianowicie chciałaś się obłowić moim kosztem.

- Gdyby był pan naprawdę człowiekiem z wyższych sfer, a nie nędznym uzurpatorem, któremu udało się wżenić w zacną rodzinę, która okazała mu tyle dobroci, wiedziałby pan, co to znaczy mieć klasę i stanąć na wysokości

zadania. Każe się pan nazywać panem na Bellfield? Całe miasto wie, że ten tytuł należał się komuś innemu, tylko że nikt nie ma odwagi powiedzieć tego wprost.

- Licz się ze słowami, kobieto. Żadna z ciebie gospodyni! Jesteś leniwą, żalostną istotą, złodziejką i kłamczuchą. No, ale wreszcie pozbędę się ciebie.

- I bardzo dobrze, ale może pan być pewny, że nie znajdzie się druga taka głupia, która chciałaby przyjść tutaj po mnie! - rzuciła wściekle.

- Przepraszam bardzo, czy mogłabym...

Wypowiedziane łamiącym się głosem słowa sprawiły, że przerwali rozmowę i skierowali wzrok na Marianne.

- Ach tak... Rozumiem... znalazł pan już kogoś na moje miejsce? - Gospodyni obrzuciła Marianne gniewnym i pogardliwym wzrokiem, po czym, nie dając nikomu dojść do słowa, kontynuowała zaczepnym tonem: - A skąd on cię wziął? Sądząc po wyszukanym sposobie, w jaki się wyrażasz, założę się, że przez jedną z tych wytwornych agencji pośrednictwa pracy dla służby domowej w Manchesterze. No cóż, nie wytrzymasz tu nawet dnia. Pewnie spodziewałaś się, że poprowadzisz dom prawdziwego pana, z kucharką i pokojówkami, a nawet z lokajem. Nikogo takiego tu nie ma. Posłuchaj mojej rady, kochanieńka, i zabieraj się tam, skąd przyszłaś, póki nie jest za późno. To nie miejsce dla takich jak ty, możesz mi wierzyć. - Panna Micklehead zwróciła się do pana domu: - Nie wytrzyma pięciu minut, wystarczy na nią popatrzeć. Widziałam różne gospodynie, ale nigdy takiej jak ta.

- Znam się na prowadzeniu domu i mogę stwierdzić, że ta kuchnia nie jest utrzymana w należytych porządku - stwierdziła dobitnie Marianne.

W każdej innej okoliczności grymas gospodyni, do której dotarło, że konkurentka nie pozwoli sobie manipulować, rozśmieszyłby ją, ale nie teraz, gdy ważyły się jej losy.

- Cóż, widać jak na dłoni, że niektórzy ludzie nie przyjmują do wiadomości, kiedy im się wyświadcza przysługę - powiedziała eks gospodyni, powściągnąwszy złość. - Ale nie licz na współczucie, kiedy już się zorientujesz w sytuacji. - Po raz ostatni spiorunowała wzrokiem Marianne, minęła ją w pośpiechu i zniknęła w ciemnościach.

- Nie wiem, co cię tu sprowadza - odezwał się chłodnym tonem pan na Bellfield - oboje jednak wiemy, że nie rozmawiałem w sprawie gospodyni z żadną agencją pracy w Manchesterze.

- Ja właśnie szukam pracy - pośpiesznie wtrąciła Marianne.

- Och, czyżby? I myślisz, że znajdziesz ją u mnie? Widać z tego, że naprawdę jesteś w rozpaczliwej sytuacji. Nie słyszałaś, co mówiła o mnie panna Micklehead?

- Ma prawo mieć swoją opinię, ale wolałabym wyrobić sobie własną.

Wyraz zdumienia na twarzy gospodarza wskazywał, że nie spodziewał się podobnych słów z ust nieznajomej.

- I to mówi służąca?

- O ile mi wiadomo, nigdzie nie jest powiedziane, że służąca nie może mieć własnego zdania.

- Jeśli tak, to jesteś w błędzie. Nie ma tu żadnej pracy dla ciebie.

- Pan wybaczy - nie dawała za wygraną - ale wydaje mi się, że jest tu bardzo dużo do zrobienia.

Zapanowało krótkie milczenie, podczas którego oboje rozglądali się po nieprzytulnej i zaniedbanej kuchni.

- Czy rzeczywiście uważasz, że mogłabyś coś z tym zrobić? To znaczy, że masz więcej wiary w siebie ode mnie. Bo ja tak nie uważam. Poza tym wystarczy na ciebie spojrzeć.

- Uczciwy człowiek dałby mi szansę i pozwolił udowodnić, co potrafię, a nie odprawiał mnie z miejsca.

- Uczciwy człowiek? - Zaśmiał się cierpko. - Nie słyszałaś, co mówiła o mnie panna Micklehead? Nie jestem uczciwym człowiekiem. Nigdy nie byłem i nie będę. Nie! Jestem potworem, okrutnym tyranem, którego nienawidzą wszyscy, którzy muszą dla mnie pracować.

- Tak jak powiedziałam, wolałabym osądzić to sama.

- Cóż, przyznaję, że jak na kogoś, kto zjawia się w drzwiach mojego domu i wygląda jak zmokły i wygłodzony kot, masz dużo do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie. Nie pochodzisz z tych stron.

- Nie, panie.

- Więc co cię tu sprowadza?

- Muszę znaleźć pracę. Zobaczyłam, że dom jest duży i pomyślałam, że może...

- Że może jestem na tyle szalony, iż zatrudnię następną gospodynię, która będzie opróżniać moje kieszenie i próbować mnie zagłodzić albo otruć. I na co mi to, skoro mogę po prostu przenieść się do hotelu i stamtąd doglądać fabryki.

- Mężczyzna musi mieć własny dach nad głową - oznajmiła prowokacyjnie, ośmielona faktem, że nie została natychmiast wyrzucona za drzwi. Była przekonana, że pan Denshaw będzie wolał pozostać w swoim domu, bo lubi być niezależny, a w hotelu musiałby podporządkować się obowiązującym tam regułom.

- A kobieta musi mieć przymilny, choć zarazem ostry języczek, jeśli chce przekonać mężczyznę, żeby dał jej dach nad głową. Czy tak, kotku?

Spuściła wzrok, czując zmianę nastroju pana domu i wiedząc, że sytuacja obraca się przeciwko niej.

- Ja szukam pracy, uczciwej, przyzwoitej pracy, proszę pana. To wszystko - oznajmiła spokojnym tonem.

Przez chwilę czuła na sobie jego szacujący wzrok.

- I twierdzisz, że uczciwą i przyzwoitą pracą możesz doprowadzić do porządku to miejsce?

Dlaczego jeszcze się waham? - zastanawiała się Marianne. Czy nie tego właśnie szukam, czy nie po to tu weszłam? To prawda, że w kuchni panuje bałagan, ale wystarczy, że jest ciepła i sucha. Dokąd pójdę, jeżeli zostanę odprawiona? Tam, skąd przyszłam? Nie ma mowy. A jednak wciąż się wahała. Sprawiała to arogancka mina mężczyzny o zimnym spojrzeniu stalowych oczu. Dopatrzyła się w nich nawet szczypty tłumionego okrucieństwa, a to mogło oznaczać, że jeśli przekroczy próg tego domu, narazi się na niebezpieczeństwo. Może jeszcze się wycofać, może udać się do miasta i poszukać tam pracy, choć szansa na jej znalezienie była nikła...

Podmuch wichury szarpnął oknami, drzwi się zatrzasnęły, choć, czego Marianne była prawie pewna, nie sprawiała tego siła wiatru, ale ludzka ręka.

- Tak. - Dlaczego ma wrażenie, jakby zrobiła krok w ciemność, która nie wiadomo dokąd prowadzi?

Wciąż czuła na sobie oceniający ją wzrok, i poczuła ulgę, kiedy w końcu się odezwał:

- No to powiedz mi, skąd ta nagła potrzeba pracy i co sprawiło, że musisz jej szukać w taką noc, a do tego w takim miejscu. Czyżby odprawiała cię twoja chlebodawczyni? - Mówił z silnym północnym akcentem, choć nie tak wyraźnym jak u byłej gospodyni.

- Nie!

- Więc co?

- Nędzarze nie mają wyboru - powiedziała ze spokojem, uważając, że nie ma prawa podawać się za kogoś lepszego.

- Nędzarze? Masz się za taką, a mimo to ubiegasz się o stanowisko gospodyni?

- Znam, panie, obowiązki przynależne tej funkcji, bo wykonywałam je w przeszłości. Przy okazji zaznaczę, że nie liczyłam na tak wysokie stanowisko.

- Wysokie? Więc uważasz, że praca w charakterze mojej gospodyni to taka ciepła posadka?

- Nie myślałam w tych kategoriach, panie. W ogóle nie myślałam o możliwości objęcia takiej funkcji. To pan o tym wspomniał. Jedyne, czego szukam, to możliwości zdobycia pracy i dachu nad głową.

- Czyż nie powiedziałaś przed chwilą, że pracowałaś jako gospodyni?

- Bo to prawda, proszę pana.

- Gdzie ostatnio pracowałaś?

- W Cheshire, w domu pewnej starszej pani.

Nagle obudziło się dziecko i zaczęło płakać.

- Co jest, u licha? - Pan Denshaw chwycił latarnię ze stołu, podniósł ją i popatrzył na nich oboje, gniewnie rozdymając nozdrza i wykrzywiając usta. - Co to za oszustwo podawać się za służącą, skoro masz dziecko?

- To nie oszustwo, panie. Jestem szanowaną, przyzwoitą wdową, zmuszoną zarabiać na życie swoje i dziecka najlepiej, jak potrafię.

- Nikt nie da pracy kobiecie z dzieckiem.

To prawda. Służba zatrudniona na stałe powinna być w pełni dyspozycyjna, a więc nieobarczona żadną rodziną. Gospodynię można grzecznościowo tytułować „panią”, ale nie powinna mieć męża, a już tym bardziej dziecka.

- Byłam na służbie, zanim wyszłam za mąż - odparła zgodnie z prawdą.

- Więc jesteś wdową? A co z twoim mężem?

- Umarł, proszę pana.

- Nie zamierzam wdawać się z tobą w dyskusję. Nie mam cierpliwości do babskich wykrętów. Nie ma tu pracy dla takich jak ty. Może ci się poszczęści w którymś z domów publicznych w Manchesterze. Czy to nie tam dorobiłaś się dzieciaka?

- Jestem przyzwoitą wdową! - odpowiedziała ze złością. - A to dziecko jest dzieckiem mojego zmarłego męża i pochodzi z prawego łóża.

- Dziwię się, że nie starczyło ci tupetu, żeby oddać je komuś albo podrzucić pod drzwi kaplicy, przerzucając problem na już i tak przeciążoną parafię. Bez dziecka może w końcu dałbym ci jakąś pracę. - Ruszył w kierunku drzwi, najwyraźniej z zamiarem usunięcia jej siłą.

- Proszę... - Błaganie kogoś o cokolwiek, a szczególnie kogoś takiego jak on, było przykre i sprzeczne z jej naturą, ale nie miała wyjścia, musiała przełknąć dumę. Poza tym złożyła obietnicę. Co więcej, obietnicę przy łóżu śmierci. - Proszę pozwolić mi zostać przynajmniej na tę noc. Jeśli nic innego nie mogę zrobić, posprzątam chociaż tę kuchnię. Proszę...

Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Odzierał ją z godności, widział w niej żalowaną, upokorzoną istotę.

Zaśmiał się szyderczo.

- Posprzątasz kuchnię w jedną noc? Niemożliwe! Jak się nazywasz?

- Marianne... to jest... pani Brown.

Dostrzegła zły błysk w jego oczach.

- Chyba nie bardzo jesteś pewna swojego nazwiska, pani Brown. Czyżbyś je zapomniała, a może z równą łatwością przyszłoby ci przedstawić się jako Smith, White lub Jones? Gdzie brałaś ślub?

- W Middlewich, w hrabstwie Cheshire, a nazywam się Brown -
odpowiedziała gniewnie.

- Aha, już to widzę, każdy może sobie kupić tanią obrączkę z mosiądzu i
powoływać się na nieżyjącego męża.

- Jestem wdową. Taka jest prawda.

- Masz świadectwo ślubu?

Czuła, że zaczyna palić ją twarz.

- Nie przy sobie... - Zaraz każe jej się wynosić, tego była pewna.

- Jeśli cię wyrzucę, wylądujesz z dzieciakiem w parafii, a zarządzający
przytułkiem zdecydują o jego losie. Więc dobrze, możesz zostać tu na noc. Ale
pierwsze, co zrobisz z samego rana, to znikniesz stąd, nie tylko z tego domu,
ale i z miasta. Czy wyraziłem się jasno?

Wyszedł, nie dając jej okazji do odpowiedzi.

I dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności, które sprowadziły ją tutaj.

Przynajmniej tę noc spędzi z dzieckiem w ciepłej kuchni. Obiecała
wysprzątać ją w zamian za schronienie, przypomniała sobie, gdy kołysała i
usypiała maleństwo, modląc się, żeby w tym bałaganie znalazło się trochę
mleka, którym mogłaby je nakarmić.

Od niesienia dziecka i ubogiego dobytku rozboleły ją ramiona, a kostka
wciąż rwała, choć nieco mniej. Skręcenie nie było więc tak poważne, jak
początkowo myślała.

Marianne opadła na krzesło i położyła na podłodze tłumoczek, a kiedy
popatrzyła na woskową twarzyczkę maleństwa, ból ścisnął jej serce. Odwróciła
się w stronę ognia, który żarzył się pod kuchnią. Spod spodu sypał się popiół,
co wskazywało na to, że piec dawno nie był czyszczony i że będzie musiała
porządnie w nim napalić, jeśli ma nagrzać dość wody do wyszorowania całej
kuchni.

Wzięła latarnię i wolnym krokiem obeszła pomieszczenie. Na stole znalazła pół bochenka chleba, trochę masła i otwarty słoik dżemu, na widok których pociekła jej ślinka. Oparła się pokusie i uciszyła głód, który boleśnie trawił jej wnętrzności. Gdzie by nie spojrzała, wszędzie piętrzyły się niepozmywane naczynia, a podłoga aż lepiała się od brudu.

Jedne drzwi kuchni prowadziły do dużej spiżarni. Tam, na marmurowym blacie, odkryła duży dzbanek mleka. Uszczęśliwiona postanowiła natychmiast wziąć się do roboty i nakarmić maleństwo. Drugie drzwi prowadziły do piwnicy, ale Marianne wołała się tam nie zapuszczać.

W komórce przy kuchni był zlew, a w nim pełno brudnych garnków. Wyszperała nieduży ronderek, który wystarczyło opłukać pod kranem, by zagrzać w nim mleko dla dziecka. Chłopczyk był tak strasznie słabiutki. Łzy smutku napłynęły jej do oczu.

Nie minęło dziesięć minut, a już siedziała w bujanym fotelu, który przysunęła do pieca, i karmiła malca kawałeczkami chleba maczanymi w ciepłym mleku, w którym rozpuściła łyżkę miodu i do którego wbiła duże, świeże jajko. Dziecko było za słabe, żeby samodzielnie ssać, więc Marianne delikatnie ścisnęła chleb, by mieszanka mleka i miodu wpływała mu do ust.

Wreszcie, kiedy po dobrej godzinie uznała, że mały najadł się do syta, wyjęła go z powijaków i delikatnie obmyła w misce ciepłej wody przy piecu. Potem go wytarła i owinęła w czysty kawałek płótna, które znalazła. Zanim skończyła, dziecko usnęło. Ułożyła je w wiklinowym koszu znalezionym w spiżarni, który wypościła ogrzаныmi na piecu miękkimi szmatkami.

Czy poniosła ją wyobraźnia, czy może rzeczywiście chłopczyk nabrał trochę kolorów i jakby lepiej się poczuł?

Nie zważając na ból w kostce, zajęła się piecem. Rozbijała i wygarniała spieczony popiół, aż wreszcie ogień buchnął jasnym płomieniem. Kończył się

koks i Marianne, rada nierada, musiała wyjść na dwór i znaleźć komórkę z opałem.

Gdy znalazła się na zewnątrz, wiało jeszcze mocniej. Wiatr szarpał jej peleryną, owijając ją wokół niej, gdy z wysoko uniesioną latarnią szukała składziku. Ulżyło jej, kiedy wypatrzyła go wreszcie.

Także tutaj panował bałagan, a stylisko szufli pokrywał raniący dłońmi pył. Zacisnęła zęby i zaczęła napełniać wiadro. Właśnie wrzuciła ostatnią szufłę koksu, kiedy coś zimnego i mokrego przemknęło między jej stopami. Wystarczająco długo żyła w ubóstwie, by zapoznać się z tymi polującymi w ciemnościach stworzeniami, więc nie zdziwił jej fakt, że szczury biegają tak blisko domu. Nie krzyknęła i nie uciekła, tylko mocniej chwyciła szufłę i podniosła ją, gotowa wyprawić na tamten świat zuchwałego szkodnika.

- Miau.

To był kot, nie szczur. Półdziki, zagłodzony i najpewniej zapchlony. Próbowwała go przegonić, ale trwał nieruchomo, jakby poczuł jej sympatię.

Rano, jeśli go jeszcze zastanie, wystawi mu spodeczek mleka, postanowiła i ponownie odgoniła kota. Zaczęła taszczyć z powrotem wiadro, ale było tak ciężkie, że musiała parę razy przystawać, zanim dotarła do drzwi. Oparła się o nie, następnie je otworzyła i wciągnęła wiadro do kuchni. Znów podziękowała Bogu, że skręcenie kostki nie było aż tak groźne i mogła chodzić.

Po dosypaniu koksu do czystego pieca podeszła do dziecka, które szczęśliwie spało spokojnie. Jakże była zdziwiona, kiedy po odwróceniu się zobaczyła pławiącego się w ciepłe ognia kota. Musiał się wślizgnąć, kiedy wносиła wiadro.

Miał gęstą, długą i pięknie przegowaną jedwabistą popielatą sierść. Przyglądała mu się ze zdumieniem. Dawno temu, kiedy była dzieckiem, ciotka

zabrała ją z wizytą do pewnej znajomej. Była urzeczona kotem, który tam mieszkał, ze względu na piękne długie futerko. Zwierzek był wyjątkowy i bardzo drogi, o bardzo arystokratycznym rodowodzie, poinformowała je znajoma ciotki.

Ale bez względu na bardziej czy mniej arystokratyczne futerko, ten kot w żadnym razie nie może zostać w środku. Podeszła do niego i złapała szybkim ruchem. Pod gęstą sierścią wyczuła same kości. Zawahała się. W końcu nic się nie stanie, jeżeli da mu talerzyk mleka i pozwoli się trochę wygrzać. Przynajmniej będzie miała towarzystwo, kiedy zabierze się do sprzątania kuchni.

Ganiąc się w duchu za zbyt miękkie serce, usadowiła kota z powrotem przy piecu i postawiła przed nim spodek z odrobiną mleka.

Chłęptał delikatnie i z gracją, a kiedy skończył, od razu zabrał się do mycia pyszczka, po czym zwinął się w kłębek i prawie natychmiast zasnął.

Szczęśliwiec, pomyślała Marianne, przykrywając dziecko kawałkiem gazy na wypadek, gdyby kotu przyszła ochota wdrapać się do koszyka, gdy będzie odwrócona. Pamiętała makabryczną historię zasłyszaną od kucharki ciotki o tym, jak pani domu, w którym wcześniej służyła, oszalała z rozpacz, kiedy jej ulubiony kot dostał się do pokoju dziecinnego, położył się na niemowlaku i zadusił go na śmierć.

Dwukrotnie jeszcze udała się po koks, a w tym czasie woda w garnkach zagotowała się. Można więc było zacząć zmywać stertę brudnych naczyń. Marianne nie mogła się nadziwić, że ludzie są w stanie tolerować taki nieporządek.

Zmywanie, wycieranie i ustawianie czystych naczyń na półkach kredensu zajęło jej mnóstwo czasu. Była tak zmęczona, że straciła ochotę na chleb z

dżemem, na widok których jeszcze tak niedawno ciekła jej ślinka. Ale nie mogła udać się na spoczynek, póki nie doprowadzi do porządku stołu.

Szorowała go mieszanką mocnego mydła karbolowego i chloru, od której szczypały ją oczy, a dłonie zrobiły się czerwone i spierzchłe, ale kiedy skończyła, miała satysfakcję z dobrze wykonanej roboty.

Światło lamp naftowych odbijało się od błyszczących garnków, które ustawiła w równym rzędzie nad piecem, a w pomieszczeniu pachniało czystością. Maleństwo cichutko pisnęło, dając znać, że się obudziło, a kot, najwyraźniej zaniepokojony tym dziwnym dźwiękiem, zmienił pozycję i przeciągnął się.

Marianne umyła dokładnie ręce i udała się do spiżarni. Kiedy otworzyła drzwi, krzyknęła na widok kilku myszy czmychających w świetle latarni, pozostawiających za sobą ślady mąki, która sypała się cienką strużką z jednego ze zgromadzonych tu worków z żywnością.

Popielata smuga mignęła jej tylko i rzuciła się na guzdrzącą się mysz, po czym fachowo ją zagryzła i przyczłapała do Marianne, kładąc u jej stóp małe zwłoki.

- No, widzę, że prawdziwie łowny kociak z ciebie! Wspólnie doprowadzimy tę kuchnię do porządku. Może dzięki temu pan na Bellfield pozwoli nam tu zostać - oznajmiła zwierzakowi, który przyjął należną mu pochwałę, a następnie zabrał swoją zdobycz, co Marianne przyjęła z ulgą.

Po tym incydencie doszła do wniosku, że będzie bezpieczniej, jeżeli postawi koszyk z dzieckiem na stole. Syty malec spał smacznie, odniosła nawet wrażenie, że jest cięższy i silniejszy, i modliła się, żeby tak było. Tak wiele razy po śmierci Mila truchlała na myśl, że straci i jego.

Nakarmiła malca i przewinęła, po czym ponownie ułożyła w miękkim prowizorycznym łóżeczku, stojącym teraz w bezpiecznym miejscu, poza

zasięgiem zabłąkanej myszy, gdyby znalazła się taka. Nie zważając na zmęczenie, Marianne przystąpiła do sprzątania podłogi, która wymagała nie tylko zamiecenia, ale i solidnego szorowania...

Nie miała pojęcia, która mogła być godzina, kiedy wreszcie wylała ostatni kubeł wody i wycisnęła szmatę. Wiedziała tylko, że podłoga w kuchni jest teraz tak czysta, iż nawet jej właściciel mógłby zjeść tu śniadanie.

Dziecko spało nadal smacznie, podobnie jak kot, który tylko przez chwilę siedział i obserwował, gdy pracowała, jakby sprawdzał, co robi. Czuła się bezgranicznie zmęczona, nieświeża i brudna. Spragniona ciepła, wyciągnęła się koło pieca. W korytarzu, za drzwiami obitymi zielonym sukniem, zegar wydzwonił godzinę, ale Marianne spała już mocno.

W przeciwieństwie do pana na Bellfield, dla którego wybicie godziny oznaczało początek nowego dnia pracy. Jak ci, którzy pracowali dla niego, wstawał wcześnie, podczas gdy inni mogli wylegiwać się w łóżkach, pławić się w luksusie, na który zarabiała ich świetnie prosperujące fabryki.

Żadna nieskazitelnie ubrana pokojówka nie podała mu porannej herbaty i świeżo wydrukowanej gazety, żaden służący nie obudził swojego pana, nie zaanonsował gotowej kąpieli i nie przygotował dla niego ubrania. Ale czy człowiek wychowany w zimnej atmosferze przytułku po bankructwie swojego ojca ceni sobie taką jaśniepaństwo?

Pan na Bellfield wiedział dobrze, co myślą o nim ludzie i co mówią za jego plecami. Teraz, po odejściu gospodyni, będą mieć nowy temat do plotek, doszedł do wniosku, goląc się w zimnej wodzie, nie bacząc na zacięcia brzytwą. Jego włosy, ciemne i tak gęste, że wprost nieposkromione, prosiły się o fryzjera. Wiedział też, że na najbliższym spotkaniu fabrykantów, które odbędzie się w eleganckim hotelu w Manchesterze, niektórzy przemysłowcy, koledzy po fachu, będą patrzyli na niego z góry, jakby mieli się za lepszych. Ci

z nich, którzy zatracili północny akcent, przyglądali włosy ohydnie pachnącymi pomadami i zachowywali się bardziej jak miejscowe ziemiaństwo niż fabrykanci.

Taka snobistyczna głupota nie była dla niego. W końcu to właśnie taki tryb życia doprowadził do upadku jego ojca. Zbyt wiele wieczorów spędzonych na grze w karty z nowo poznanymi ekstrawaganckimi znajomymi i zbyt mało dni poświęconych nadzorowaniu własnych zakładów, kontroli nad rachunkiem strat i zysków, a na koniec bankructwo.

Jego siostra może sobie pokrzykiwać wszem i wobec, że ich ojca oszukano i pozbawiono własności, kiedy bank zajął obciążoną nieruchomość, ale on, pan na Bellfield, wiedział swoje.

Wiedział także, jak ludzie kpili i gardzili nim, kiedy podjął kroki, by odmienić i poprawić swój los. Tak było, dopóki nie nauczyli się go bać i tylko szeptem mówić o swoich podejrzeniach. A niech sobie mówią, co chcą. Niech głupie żony fabrykantów pełne fochów i pretensji i z fałszywie brzmiącym ziemiańskim akcentem ignorują go i wykluczają z wytwornych przyjęć wydawanych z myślą o złapaniu męża dla dziewiczych córek. Mało go to obchodziło.

Włożył zimną, niewyprasowaną koszulę i parę zgrzebnych spodni z materiału wytwarzanego we własnej przędzalni. Na koniec rozsunał sfatygowane zasłony w oknach i wyteżył wzrok, patrząc w ciemność ożywioną punkcikami świateł pochodzących z różnych fabryk. Sięgnął po kieszonkowy zegarek.

Za minutę piątą. Czekał niecierpliwie, dopóki nie ujrzał kłębu dymu z kominów swojej fabryki, który wydobył się punktualnie co do sekundy.

W kuchni dwoje z trojga jej mieszkańców spało mocno, kiedy pan na Bellfield wszedł do pomieszczenia, trzeci zaś skrył się pod ławą.

Pierwsze, co zauważył pan domu, to leżącą przy piecu młodą kobietę. Następnie poczuł nieznany dotąd w tym miejscu zapach czystości. Mrużąc oczy, przemierzył wyszorowaną kamienną podłogę. Kobieta leżała na boku, a spod cienkiego szala, który na siebie naciągnęła, wystawał szczupły nadgarstek. Popatrzył na nią z niedowierzaniem, nie spodziewał się bowiem ani przez chwilę, że będzie w stanie dotrzymać obietnicy i posprzątać kuchnię. Nie miał cienia wątpliwości, że pracowała przez całą noc. W jakim celu? Czy miała nadzieję, że dzięki temu pozwoli jej tu zostać?

Skrzywił się na widok koszyka na stole. Co jak co, ale ta kobieta przekona się wkrótce, że była w błędzie. Wkrótce, ale nie teraz. Było wpół do szóstej. Żeby dotrzeć do fabryki na szóstą, musi już wyjść. Ci, którzy pracowali w Bellfield, wiedzieli, że lepiej się nie spóźniać, gdy właściciel jest na miejscu i odnotowuje czas ich przybycia.

Żaden brygadzysta nie nauczy lepiej szacunku do pracy niż czujne oko samego właściciela ani nie zagwarantuje, że materiał utkany w jego przędzalniach posiadzie tę wyjątkową jakość, by stać się poszukiwanym towarem na rynku. Niech inni właściciele i ich żony zadzierają nosa, ile im się podoba, ale to wełna z Bellfield jest prawdziwą arystokratką północnych dolin.

Przeszedł obok śpiącej kobiety, ale po chwili wrócił do holu, gdzie otworzył jedne z licznych ciężkich podwójnych mahoniowych drzwi, wszedł do pokoju i z sofy obitej wyblakłym czerwonym aksamitem zdjął czarny kwadratowy pled z równiutko utkanej wełny.

Wrócił do kuchni, zarzucił pled na leżącą kobietę i skierował się do tylnego wyjścia. Inni fabrykanci mogą dojeżdżać do swoich zakładów kareta, powożąc osobiście albo biorąc stangreta. On woli iść na piechotę. Z gołą głową, nie zważając na zimny wiatr i postrzępione mankiety koszuli i marynarki, wymaszerował na dziedziniec. W tym samym czasie w kuchni

Marianne otworzyła oczy, zastanawiając się przez parę sekund, gdzie się znajduje, a kot wynurzył się ze swojej kryjówki i zaczął ocierać się o jej stopy, miaucząc wymownie.

Nie zwracając na niego uwagi, dotknęła delikatnej wełny, która tak miło grzała. Ktoś ją tutaj położył, a była tylko jedna osoba, która mogła to zrobić.

Dobry uczynek ze strony pana na Bellfield? Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.



ROZDZIAŁ TRZECI

Nieoczekiwanie po przenikliwym, mroźnym wietrze nastał pogodny, acz raczej chłodny poranek, a ostre światło słoneczne obnażyło żaloszny stan kuchennych okien. Krzywiąc się na ich widok, Marianne otworzyła drzwi i wypuściła na dwór kota, który się tego domagał.

Tego ranka podwórze wyglądało nieco bardziej gościnnie, znalazło się na nim nawet kilka kur, które grzebały w ziemi. Właśnie im się przyglądała i zastanawiała, gdzie mogą znosić jajka, kiedy na podwórko wjechał chłopiec na posyłki na większym od siebie rowerze, uśmiechnął się do niej wesoło, zatrzymał i zeskoczył na ziemię.

- Charlie Postlethwaite z Apropowizacji Postlethwaite - przedstawił się, pokazując jednocześnie na wypisane na rowerze litery. - To firma mojego papcia - oświadczył z dumą. - Kazał mi tu przyjechać. - Otworzył koszyk z tyłu roweru. - Papcio powiedział, że słyszał, jak ta stara wiedźma, która podaje się za gospodynię, wypadła stąd jak furia, wynosząc zawczasu ze spiżarni, co tylko się dało. Papcio powiedział też, że ponoć pan przyjął kogoś nowego. - Wyjąwszy z koszyka nieduży połączony wędzonego boczku, chłopiec spojrzał na Marianne bystrym okiem. - Zostanie pani tutaj?

- To zależy od pana Denshawa - odpowiedziała powściągliwie, splatając ramiona na piersi i przybierając pozę stosowną dla gospodyni.

- Och, pan Denshaw! Nazywamy go tutaj po prostu panem, bo jakżeby inaczej. Teraz jest w fabryce, ale po powrocie będzie chciał zjeść śniadanie. Papcio kazał powiedzieć, że byłoby dobrze, gdyby pani wydała dyspozycje, a ja mu je przekażę.

- Pan Denshaw nie zdążył jeszcze zapoznać mnie z nazwiskami swoich dostawców - odparła Marianne z naciskiem, próbując zachować oficjalny ton, gdy rozległ się przenikliwy płacz dziecka.

Charlie spojrział w stronę kuchni i gwizdnął cicho.

- Niech pani nigdy nie bierze dziecka z sobą! - zawołał. - Pan ich nie lubi, bo stracił swoje, i to razem z żoną. Zaczęła rodzić za wcześnie, kiedy pana nie było, i umarła. Aha, mój kuzyn Jem prosił przekazać pani, że gdyby potrzebowała pani kogoś do roboty na dworze, to on by się chętnie najął.

Marianne nie знаła drugiego tak wygadanego chłopca. Od samego słuchania można było dostać zawrotu głowy. Kot, który skończył swoje sprawy na dworze, przybiegł z powrotem na podwórze i stanął przy niej niczym straż przyboczna.

- A to ci dopiero, czy to nie jeden z paradnych kotów panny Amelii? - zdumiał się chłopiec. - Słyszałem, że pan kazał je wszystkie potopić. Strasznie się przejął jej zniknięciem. Niektórzy powiadali, że sprowadził ją do domu z eleganckiej szkoły, bo chciał się z nią ożenić, a ona dlatego właśnie stąd się wyniosła. Ludzie powiadają, że pan nie tylko pozbył się kota, ale też zabił pannę Amelię. A jej kuzyn był pana pasierbem.

Marianne wiedziała, że taka pokręcona i gotycka opowieść musi być mocno przesadzona, niemniej jednak zadrżała i poczuła skurcze w pustym żołądku.

- Dziękuję ci, Charlie. - Położyła tamę potokowi informacji, zdecydowana odejść stąd jak najprędzej, i mając nadzieję, że chłopiec zrozumie aluzję.

- Tak, lepiej, jak pani wejdzie do środka i weźmie trochę tego boczk. Pan zrobi się zły, kiedy wróci, a śniadanie nie będzie gotowe.

- Masz rację. Więc idę, żeby je przygotować - pośpieszyła z odpowiedzią, oddychając z ulgą, że tym razem chłopiec wreszcie zarzucił nogę na rower i ruszył z miejsca. - Co ty na to? - zwróciła się do kota, który siedział u jej stóp, i zaczęła karmić dziecko namoczonym w mleku chlebem. Jadło łapczywie, mrużąc oczka z rozkoszy. - Teraz znamy dwa ważne powody, dla których pan Denshaw nie chce mnie zatrzymać. Dziecko i ty.

Westchnęła. Gdyby to było możliwe, powiedziałaaby panu na Bellfield, że ona również nie ma ochoty tu zostać. Ale złożyła obietnicę przy łożu śmierci i musi jej dotrzymać.

Kiedy dziecko skończyło mleko, Marianne wzięła je na ręce i poklepała po plecach, żeby mu się odbiło.

Upłynęło pół godziny od odjazdu Charliego Postlethwaite'a, a malec był nakarmiony, przewinięty i leżał w prowizorycznym łóżeczku, które stało teraz na podłodze, podczas gdy Marianne skrupulatnie przewracała boczek, by był dobrze wysmażony na powrót pana. Co chwilę zerkała na kota, który usiadł przy śpiącym dziecku.

- Tylko nie waż się wejść do koszyka - ostrzegła.

Kot spojrzał na nią z wyższością, a już po chwili postawił uszy na sztorc, jakby usłyszał coś, co nie docierało do Marianne. Nie minęło parę sekund, jak i ona usłyszała na podwórzu męskie głosy.

Pośpieszyła do okna i zobaczyła kilku mężczyzn otaczających i podtrzymujących pana na Bellfield. Splamiony krwią bandaż owijał jego udo.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je.

- Co się stało? - spytała najbliższego mężczyznę.

- Pan miał wypadek - odpowiedział jeden z nich.

- Kazał nam przyprowadzić się tutaj - dodał inny.

Kiedy próbowali wprowadzić pracodawcę przez drzwi, niechący uderzyli go w skaleczoną nogę, na co jęknął cicho przez zaciśnięte zęby.

Miał woskowoblada i spływającą potem twarz, na wpół zamknięte oczy, jakby nie był w pełni przytomny.

- Trzeba wezwać doktora - orzekła.

- To samo powiedział mu majster, ale niewiele wskórał. Pan zagroził, że go zwolni, jeśli odważy się posłać po doktora. Powiedział, że to tylko lekkie draśnięcie, chociaż ci z nas, którzy przy tym byli, dobrze widzieli, że ostry trzpień maszyny wszedł głęboko w nogę. Po wyciągnięciu wyglądało to tak, jakby ktoś przebił ją nożem... przynajmniej ja tak to...

Ze zdziwieniem dostrzegła, jak inny mężczyzna kopie go i szepcze mu coś do ucha, by po chwili już normalnym głosem zwrócić się do Marianne:

- Co według pani mamy z nim teraz zrobić? Jak nie potraci nam zarobki, jeżeli nie wrócimy do fabryki.

Próbowała opanować panikę. Mężczyźni traktowali ją, jakby naprawdę była gospodynią.

- Może powinniście... skonsultować to z waszym panem... - zaczęła, ale zdała sobie sprawę z bezcelowości swojej sugestii

Potwierdził to jeden z mężczyzn, który stwierdził otwarcie:

- Pan jest nieprzytomny, proszę pani. Trzeba przyznać, że jego sytuacja jest nie najlepsza. Bo musi pani wiedzieć, że wielu jest takich, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć go w trumnie. Wcale nie przesadzam, proszę mi wierzyć.

Wzdrygnęła się na te słowa, chociaż doskonale wiedziała, że surowemu i okrutnemu pracodawcy ci, którzy od niego zależą, mogą życzyć śmierci. Nic dziwnego, że niektórzy robotnicy strajkują przeciw swoim chlebodawcom.

- Więc zanieście go na górę - powiedziała. - A jeden z was niech pobiegnie i wezwie doktora.

- Jim, najlepiej, jak ty to zrobisz - oświadczył starszy z mężczyzn - bo jesteś najszybszy w nogach. A ty - zwrócił się do drugiego z towarzyszy - pomóż mi zanieść go na górę.

Skinęła głową i pośpieszyła otworzyć drzwi prowadzące na korytarz, starając się zachowywać tak, jakby dobrze znała rozkład pomieszczeń, choć w rzeczywistości nie wysunęła nosa poza kuchnię.

Zauważyła, jak niechlujnie prowadzony był dom przez pannę Micklehead, bo mahoniowe drzwi, zamiast błyszczeć, były zmatowiałe i obrosnięte kurzem. Następnie przeszła przez kwadratowy przedpokój z imponującymi drzwiami, które, jak przypuszczała, służyły jako główne wejście. Z holu na górę prowadziły kręte schody, które zatrzymywały się na podeście z ozdobną galeryjką o pięknej balustradzie z wyrzeźbionymi kwiatami i owocami, podczas gdy poręcz pod jej ręką była gładka.

Na górze korytarz rozchodził się w dwóch kierunkach i Marianne, nie wiedząc, który z nich może prowadzić do sypialni pana, wahała się przez moment, ale na szczęście pan na Bellfield odzyskał świadomość i próbował samodzielnie zrobić krok, kierując się w prawą stronę.

Wyprzedzając mężczyzn, którzy wlekli swego pana, dostrzegła w połowie korytarza lekko uchylone podwójne drzwi. Zaryzykowała i otworzyła je szerzej. Nie omyliła się, a kiedy stanęła w progu i zobaczyła nieposłane łóżko, nieoczekiwanie dla samej siebie wstrzymała oddech.

- Nie możemy go na tym położyć - powiedział jeden z mężczyzn, pokazując na szerokie łóżko. - To jest pościel najwyższej jakości, a on krwawi i zniszczy ją, jeśli tu będzie leżał - dodał ostrym tonem.

Miał rację, ale ponieważ Marianne nie wiedziała, gdzie znajdują się szafy z bielizną, potrząsnęła energicznie głową i powiedziała zdecydowanie:

- No to ją zniszczy. Kiedy zjawi się doktor?

- Zależy, ile czasu zajmie Jimowi znalezienie go. Znając doktora Hollingsheada, nie będzie zadowolony, że ktoś przeszkadza mu podczas śniadania.

Udało im się ułożyć na łóżku pana Denshawa, a Marianne aż serce zamarło, kiedy zobaczyła, jak bardzo rozprzestrzeniła się plama krwi na bandażu.

- No to w drogę, chłopaki - powiedział mężczyzna, który przewodził pozostałym. - Nic już tu po nas. Lepiej wracajmy do fabryki.

Pośpieszyła za nimi, słysząc, jak zbiegając po schodach, stukają obcasami.

- Doktor będzie chciał wiedzieć, co dokładnie się stało - zawołała. - Może jeden z was mógłby zostać...

- Nie mamy nic do powiedzenia poza tym, że metalowy trzpień wyskoczył z maszyny i wbił się prosto w nogę. A pan sam go wyciągnął, tak, sam - z nieskrywanym podziwem brygadzista poinformował Marianne, która stała wstrząśnięta, wyobrażając sobie potworny ból nieszczęśnika.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mężczyźni odeszli, a doktora wciąż nie było. Marianne, która widziała różnego rodzaju obrażenia w czasie pobytu w przytułku i wiedziała, czym grozi niezdezynfekowanie rany, nastawiła wodę do zagotowania i udała się na poszukiwanie czystego płótna, uprzednio zaglądając do dziecka, które na szczęście słodko spało.

Po dłuższym poszukiwaniu znalazła bieliznę pościelową w szafach na mansardzie. Popatrzyła z obrzydzeniem na pocętkowane brudną pajęczyną i pocięte przez myszy sztuki, a czysta pościel, po którą sięgnęła, okazała się niewyprasowana i czuć ją było wilgocią.

Jej ciotka na pewno nie tolerowałaby podobnego niechlujstwa, ale tak to jest, kiedy mężczyzna zdany jest na łaskę takiej panny Micklehead. Wbrew sobie Marianne zrobiło się żal pana na Bellfield, a także tego domu, który niegdyś musiał być naprawdę elegancki i dostatni.

Po zejściu z mansardy schodami dla służby znalazła się w korytarzu prowadzącym na podest z galeryjką. Zza otwartych drzwi sypialni doszedł ją cichy jęk. Przyśpieszyła kroku i zatrzymała się na progu pokoju.

Pan na Bellfield leżał z zamkniętymi oczami, z prawą ręką na udzie, a przez palce sączyła się krew.

Marianne ogarnęła panika. Strasznie krwawił, co do tego nie miała wątpliwości. Gdy gorączkowo zastanawiała się, co robić, ktoś zapukał do frontowych drzwi.

Unosząc lekko spódnicę, zbiegła ze schodów, wpadła do holu, przekreśliła klucz w zamku i odsunęła ciężkie zasuwę.

- Przyszedł doktor, proszę pani - poinformował ją mężczyzna, który pukał do drzwi, i zaraz odwrócił głowę, by splunąć prymką tytoniu.

Z niedużego powozu wysiadł pulchny mężczyzna z brodą, w czarnym surducie i w wysokim cylindrze, z dużym neseserem w ręku.

- Rozumiem, że miał miejsce wypadek i że pan na Bellfield jest ranny - oznajmił, nie zdejmując cylindra.

Ewidentny znak, że uważa gospodynię za kogoś stojącego znacznie niżej w hierarchii społecznej, a więc niezasługującego na elementarną uprzejmość, stwierdziła Marianne, lekko przed nim dygając, a następnie biorąc torbę, którą wyciągnął w jej stronę.

- Tak, to prawda. Proszę łaskawie za mną, doktorze. Pan jest w swoim pokoju.

- Jesteś tu nowa - powiedział szorstko, kiedy prowadziła go na górę.

- Tak. - Odetchnęła głęboko i dodała niezgodnie z prawdą: - Pan Denshaw powiadomił jedną z agencji pośrednictwa pracy w Manchesterze, że potrzebuje nowej gospodyni. - Zatrzymała się na podeście. - Sypialnia pana jest po tej stronie.

- Wiem, wiem. Będziesz mi asystować podczas badania, jeśli łaska.

Posłusznie kiwnęła głową. Teraz także pościel była zakrwawiona, a pan Denshaw oddychał płytko.

- Od kiedy tak krwawi? - zapytał ostrym tonem doktor.

- Krwawił tak, gdy go tu przynieśli. - Postawiła neseser na mahoniowej wysokiej komodzie.

- Potrzebuję gorącej wody i mydła karbolowego do umycia rąk - zadysponował opryskliwie doktor. - I powiedz mojemu człowiekowi, żeby się tu zjawił. Szybko, nie ma czasu do stracenia, chyba że chcesz, by twój pan wykrwawił się na śmierć.

- Już idę, panie doktorze.

Wdzięczna, że nie dokucza jej kostka, niemal sfrunęła ze schodów, otworzyła frontowe drzwi i przekazała służącemu polecenie.

- Pewnie chce, żebym go przytrzymał - mruknął. - Nie dałaby pani wiary, jak niektórzy z nich potrafią wrzeszczeć i kląć. Nie zdziwiłbym się, gdyby trzeba było obciąć mu nogę. To często się zdarza.

Marianne zadrzała.

Kiedy po krótkiej chwili wróciła na górę z dużym dzbankiem gorącej wody, czystymi miskami i mydłem, doktor instruował służącego, żeby wyjął z kuferka nożyce i rozciął spodnie pacjenta, by mieć dostęp do rany.

Widok brudnych rąk i paznokci służącego wprowadził Mariannę w osłupienie. Cóż to za doktor, pomyślała, który dba o higienę, a nie wymaga tego samego od innych? Jej ciotka była dobrą znajomą rodziny Florence Nightingale i drobiazgowo przestrzegała wobec siebie i innych, także służby, zasad czystości głoszonych przez tę słynną pielęgniarkę. Nalegała, żeby Marianne nauczyła się tych metod, i często powtarzała:

- Według Florence Nightingale to właśnie infekcja, a nie sama rana, najczęściej zabija pacjenta, więc naszym obowiązkiem jest dbanie o to, żeby wszystko w otoczeniu chorego było absolutnie sterylne.

Mając w pamięci te słowa, Marianne odruchowo wyciągnęła rękę i sięgnęła po nożyce.

- Może mnie będzie łatwiej to zrobić, panie doktorze. Mam mniejsze dłonie - zaproponowała szybko.

Zanim doktor zdążył ją powstrzymać, włożyła nożyce do miednicy i poliała je gorącą wodą, po czym przystąpiła do rozcinania zakrwawionej nogawki spodni.

Powietrze w pokoju przesączone było zapachem krwi. Marianne stanęły przed oczami sceny z przeszłości, o których wolałyby zapomnieć. Ubogi dom i ofiary tego ubóstwa. Młoda kobieta rodząca bez niczyjej pomocy i wykrwawiająca się na śmierć, podczas gdy krzyki Marianne o pomoc pozostawały bez echa.

Kiedy nożyce dotarły do rany i zaczęły się kleić od krwi, zadrżały jej ręce. Jakim szokiem byłaby dla ciotki wieść, że jej podopieczna musi patrzeć na obnażone męskie ciało. Ale przecież już nie jest młodą niewinną panią, którą była w domu ciotki!

- Podejź tu do mnie, dziewczyno. Nie widzisz, że mam krew na butach? Możesz mi je wyczyścić? - spytał władczym tonem doktor.

Zdumiała się. Ma czyścić mu buty? A co z raną pacjenta? Kątem oka ujrzała ostrzegawcze spojrzenie służącego, więc rada nierada wyjęła z kieszeni czystą szmatkę, uklękła i wytarła nią buty lekarza.

- W porządku. A teraz zetrzyj trochę krwi z jego nogi, żebyśmy mogli dokładniej obejrzyć ranę.

Nie wierzyła własnym uszom. Chyba nie spodziewał się, że zetrze krew z nogi swojego pracodawcy tą samą ściereczką, którą przed chwilą czyściła buty? Z trudem kryjąc oburzenie, odwróciła się, sięgnęła po dzban i naląła trochę wody do czystej miski.

- Oczywiście, proszę pana. Ale czy nie powinnam najpierw umyć rąk? - zasugerowała i nie czekając na pozwolenie, wyszorowała dłonie mydłem karbolowym. Spłukała je czystą wodą, a następnie naląła trochę świeżej do miednicy i zanurzyła w niej nowy kawałek płótna.

Jedyne rany, które kiedyś dezynfekowała, to były niewielkie skaleczenia służących ciotki, i żadna z nich nie wymagała dotyknięcia muskularnego męskiego uda. Zmuszając się, żeby nie zwracać uwagi na obnażone ciało,

szybko, ale jak najdelikatniej zmyła krew. Rana była straszna i musiała piekielnie boleć. Pan na Bellfield, choć wciąż na wpół przytomny, drżał przy każdym jej dotyku i odsuwał się.

- Wygląda na to, że będziemy musieli go związać, Jenks - powiedział doktor do służącego. - Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o sznurach.

- Już schodzę po nie, proszę pana.

Tylko nie to! Marianne wzdrygnęła się ponownie. Naprawdę współczuła swojemu „nowemu chlebodawcy”.

- Może łyk spirytusu uśmierzy ból i uspokoi pacjenta na czas badania, panie doktorze? - zasugerowała nieśmiało.

- To oczywiste, ale obawiam się, że w tym domu nie znajdzie się kropla alkoholu.

- Jako doktor z pewnością nosi pan przy sobie buteleczkę brandy w celach leczniczych - zaryzykowała.

- Brandy jest droga - odrzekł kwaśno - a tutejsi ludzie nie szastają forszą, żeby starczyło na brandy dla doktora. Hm, krwawienie jakby ustało, a rana jest stosunkowo czysta. Znam Denshawa i dziwię się, że zrobiła mu to jego maszyna. Dba o fabrykę i o robotników bardziej niż o siebie. Czasami zachowuje się po prostu niemądrze. A już na pewno jego poczynania nie przysporzyły mu popularności wśród innych fabrykantów. Mają mu za złe, że płaci swoim pracownikom najwyższe stawki, dostarcza im darmowe mleko i specjalne ubranie robocze. Tak czy inaczej, to się może źle dla niego skończyć. Już nie będą potrzebne, Jenks - zwrócił się do służącego, który wszedł z ziajanymi, taszcząc mocno zabrudzone i zakrwawione zwoje sznura.

- Teraz musimy pozwolić działać naturze. Wystarczy, że zabandażujesz mu nogę, a ja przyślę pielęgniarkę, by przy nim siedziała. Przyniesie z sobą miksturę, która go wyciszy, aż gorączka opadnie.

- Mam go zabandażować? Ależ, doktorze... - Była pewna, że się przesłyszała. Wykluczone, aby doktor zlecał niedoświadczonej osobie założenie opatrunku!

- Zrób, co mówię, i uważaj, żeby bandaż przylegał dość mocno, by powstrzymać krwawienie, ale nie za ciasno. A teraz się pożegnaj. Należy mi się pięć gwinei. Powtórz to panu, kiedy dojdzie do siebie. Możesz go poić słabą herbatą, ale niczym więcej, pamiętaj o tym!

Pięć gwinei! Toż to majątek dla kogoś takiego jak ona. Jednak jeszcze bardziej zdumiała ją wieści o tym, w jaki sposób traktuje robotników pan na Bellfield. Serce zaczęło jej bić szybciej. Czy to oznacza, że cel, który sobie wyznaczyła, przyjeżdżając do Bellfield, okaże się możliwy do osiągnięcia? Oby!

Gdy tylko za doktorem zamknęły się drzwi, pośpieszyła do kuchni. Odetchnęła z ulgą na widok kota zwiniętego w kłębuszek przy piecu i radośnie gaworzącego dziecka w koszyku.

Malec naprawdę wygląda rozkosznie, pomyślała i czule uśmiechnęła się do niego. Zauważyła, że odziedziczył po ojcu niesforny kosmyk opadający na czoło, choć na razie był to dopiero załążek włosów. Dziecko, do niedawna słabe i apatyczne, nabrało rumieńców i przyglądało się jej z zainteresowaniem. Miała ochotę wyjąć je z łóżeczka i przytulić, ale najpierw musiała się zająć leżącym na górze panem tego domu.

Doktor nie zostawił nawet bandaży, pomyślała z oburzeniem. Ale jakoś sobie poradzi, a nawet postara się zrobić wszystko najlepiej, jak potrafi, by nie zawieść oczekiwań, które pokładała w niej ciotka. Jak nazywał się ten chłopiec na rowerze? Postlethwaite? Tak, na pewno.

W holu był telefon, więc pośpieszyła tam, podniosła słuchawkę, a po chwili kobiecy głos zapytał ją, z kim chce rozmawiać.

- Proszę mnie połączyć z Apropowizacją Postlethwaite - odpowiedziała z poczuciem winy, bo przecież nie była gospodynią w Bellfield Hall i nie miała prawa występować w imieniu pana Denshawa.

Zaraz jednak usłyszała pytanie:

- Jak miewa się ranny, panno...?

- Pani Brown. Czy to pan Postlethwaite? - zapytała niepewnym głosem.

- We własnej osobie. Mój chłopak powiedział, że słyszał o wypadku, który przytrafił się panu. Chciałaby pani pewnie, żebym przysłał coś do jedzenia dla niego. Mam puszczkę wybornej zupy żółwiowej, która może go zadowoli, a co by powiedziała pani na...?

Zupa żółwiowa z puszek? Dla chorego? Wolałaby raczej coś pożywne, na przykład domowy rosół z kury, ale nie chciała urazić sklepikarza.

- Oczywiście, dziękuję panu, panie Postlethwaite - odpowiedziała grzecznie. - Zupa będzie w sam raz. Przydałoby się też kura - dodała jednak. - Prosiłabym też o skontaktowanie z rzetelnym aptekarzem, który by mi dostarczył bandażę i maść, i to możliwie jak najszybciej. Doktor obiecał przysłać pielęgniarkę, a ja do jej przyścia muszę zabandażować ranę.

- Najlepsza będzie apteka Harpera. Powiedz, czego potrzebujesz, to pošle Charliego, a on migiem ci wszystko dostarczy.

Marianne, nieprzyzwyczajona do takiej uczynności, poczuła ulgę, a wzruszenie ścisnęło jej gardło. Szybko jednak wzięła się w garść i złożyła zamówienie.

- Och, zastanawiam się też... może zna pan kogoś w okolicy, kto ma ule, panie Postlethwaite? Przydałoby mi się trochę miodu.

- Hm, muszę się zastanowić... Nie wiem, czy jeszcze nie jest za wcześnie na wyjmowanie plastrów z ula. Ale popytam, obiecuję.

- To musi być prawdziwy, naturalny miód, panie Postlethwaite - powiedziała z naciskiem.

Ciotka święcie wierzyła w zbawienne działanie miodu na wszelkiego rodzaju otwarte rany.

- Miałbym tylko drobną uwagę, jeśli można, pani Brown - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Gdyby doktor przysłał Betty Chadwick, radziłbym się upewnić, czy nie jest pijana.

- O Boże!... dziękuję.

Najważniejsze, że będzie miała niezbędne rzeczy, które zalecił doktor, a w spiżarni przybędzie jedzenia, uznała, odkładając słuchawkę.

Zaczęła układać w myślach listę, co powinna teraz zrobić. Jak tylko zabandażuje nogę pana, będzie musiała napełnić wodą miedziany kocioł i wygotować większą ilość płótna, na wypadek gdyby trzeba było często zmieniać opatrunki. Musi też poszukać przyzwoitej czystej pościeli i porządnie ją przewietrzyć, chociaż bez pomocy pielęgniarce nie zdoła dźwignąć chorego i posłać łóżka.

Z zapasem gorącej wody, z kawałkiem wilgotnego materiału, który wyprała we wrzątku z mydłem karbolowym, udała się z powrotem do sypialni pana.

Leżał nieruchomo z twarzą zwróconą do okna i z zamkniętymi oczami. Zastanawiała się przez moment, czy aby nie umarł. Z duszą na ramieniu wpatrywała się w klatkę piersiową, wypatrując jakiegoś ruchu, a kiedy upewniła się, że pan Denshaw żyje, poczuła wielką ulgę.

Ulgę? Jak można żywić podobne uczucie wobec człowieka, który... Ale nie, teraz nie wolno jej myśleć w ten sposób.

Spokojnie i ostrożnie podeszła do łóżka od strony okna, by znaleźć się jak najbliżej skaleczonej nogi.

Najpierw należy usunąć zakrzepłą krew. Uniosła rękę z zamiarem dotknięcia ciała chorego i sprawdzenia, czy nie jest gorące i czy nie wdała się gangrena, ale zatrzymała ją w pół drogi nad obnażonym udem. Trzeba być niemądrą, żeby mieć opory przed dotknięciem ciała chorego, nawet gdy tym chorym jest obcy mężczyzna. Skąd więc u niej taka emocjonalna reakcja? Wypieki na twarzy i serce walące jak u schwytanego ptaka. W przytułku przywykła do wszelkiego rodzaju widoków i odgłosów, nie zawsze odpowiednich dla oczu i uszu delikatnej kobiety. Zdarzało się jej oglądać niejednego nagi męski tors. To prawda, ale żadne ciało nie było tak fantastycznie umięśnione i takie zmysłowe...

Mignęła jej dawno zapomniana scena - gorący letni wieczór i ona, młoda dziewczyna, przechadzająca się koło młyńskiego stawu, nad którym rozbierali się chłopcy ze wsi i skakali do orzeźwiającej wody. Na to wspomnienie nałożył się obraz innego mężczyzny - starszego, dojrzałego i w pełni ukształtowanego...

Tego mężczyzny. Po chwili otrząsnęła się i z niesmakiem odrzuciła od siebie te jakże niestosowne myśli. Opanowała się i skoncentrowała na temperaturze ciała chorego, sprawdzając ją dłonią. Skóra nie była zaogniona, ale ciotka zawsze mówiła, że przed zabandażowaniem trzeba ranę starannie oczyścić.

Wolałaby, żeby pielęgniarka zdjęła z niej tę odpowiedzialność i podjęła właściwe kroki. Marianne wiedziała, czym może się skończyć zaniedbana i zainfekowana rana. Pewnego razu do drzwi domu jej ciotki przyniesiono młodego Cygana, którego nogę przytrzasnęła zastawiona przez kłusownika pułapka. Noga była już tak spuchnięta, a rana tak zakażona, że nawet ciotka nie była w stanie temu zaradzić. Chłopak umierał w potwornych mękach, a Marianne nie zapomni nigdy widoku jego poczerniałej i nabrzmiałej twarzy.

Pograżona w tych ponurych myślach, zupełnie machinalnie ścisnęła mocniej udo chorego.

Kiedy pan Denshaw zawył i usiadł, Marianne nie wiedziała, które z nich miało bardziej przerażoną minę.

- To ty? Co jest, kobieto? Co, do diabła, wyprawiasz? To tak się odwdzięczasz za moją łaskawość? Próbowowałaś mnie zabić?

- Doktor Hollingshead powiedział, żeby zabandażować nogę.

- Hollingshead? Ta nikczemna pijawka? Jeśli pozwolił zbliżyć się do mnie temu swojemu niechlujowi, to lepiej, żebym już umarł.

- Tak się złożyło, że to ja... To znaczy... kiedy on... oczywiście bezpodstawnie... wziął mnie za pańską nową gospodynię...

- Co takiego?

- Miał prawo się pomylić...

- Miał, czy też sama swoim zachowaniem upoważniłaś go do tego?

Jak na człowieka, który tak się wykrwawił i tyle wycierpiał, szybkość jego skojarzeń była zaskakująca.

- Ja... nauczyłam się od ciotki opiekować się chorymi, więc jeśli pan pozwoli, obmyję ranę i założę bandaż, zanim przyjdzie pielęgniarka. Ma przynieść z sobą miksturę, która pomoże panu zasnąć.

- Pomoże mi zasnąć... Chyba raczej mnie wykończy końską dawką laudanum. - Poruszył się na łóżku i zbladł jak ściana. Było oczywiste, że rana boli go bardziej, niż się do tego przyznaje.

- Kiedy zjawi się pielęgniarka, trzeba będzie zmienić pościel, a to, obawiam się, sprawi panu dodatkowy ból - powiedziała taktownie. - Zasugerowałam doktorowi, że odrobina brandy mogłaby przynieść panu pewną ulgę. Ponieważ jednak doktor zapewnił, że w domu nie znajdzie się kropla

alkoholu, pozwoliłam sobie zamówić brandy u pana Postlethwaite'a, dodając do listy trochę innych niezbędnych produktów.

Przyszpilił ją wzrokiem.

- Po kiego czorta? A Hollingshead jest w błędzie! Znajdziesz butelkę w bibliotece na dole. W dolnej części kredensu na lewo od kominka. Klucze są w kieszeni mojego surduta, tylko nie zapomnij przynieść ich z powrotem. Aha, kiedy zjawi się tu mały Charlie, powiedz mu, żeby pojechał do fabryki i sprowadził tutaj Archiego Gledhilla. Chcę z nim pomówić.

- Powinien pan wypoczywać. Pokój chorego nie jest miejscem, z którego zarządza się firmą - zganiała go Marianne

Została za to upomniana równie karcącym, co zdumionym spojrzeniem.

- Jak na kogoś, kto zaledwie wczoraj wieczór zebrał o spędzenie jednej nocy w moim domu, rozpanoszyłaś się jak diabli! A jeśli myślisz, że wykorzystasz moją chorobę - zmrużył oczy - to wiedz... - Skrzywił się i opadł na poduszki z twarzą stężoną z bólu. - Idź już i przynieś tę brandy.

- Nie sędzę, żeby to był... - zaczęła Marianne, ale nie dał jej skończyć, tylko podjął próbę podciągnięcia się na łóżku.

W obawie, że rana znów zacznie krwawić, szybko ustąpiła.

- Już dobrze, pójdę po brandy, ale musi pan obiecać, że nie ruszy się, dopóki nie wrócę.

- Weź klucze i dobrze szukaj.

Otworzyła dwie pary drzwi, zanim znalazła te, które prowadziły do biblioteki, posepnego, wyziębionego i przesiąkniętego wilgocią pomieszczenia, z ciężkimi, niedopuszczającymi światła aksamitnymi zasłonami na oknach. Na ścianie nad kominkiem widniał ciemniejszy prostokątny ślad, jakby wcześniej wisiał tu portret.

Znalazła brandy we wskazanym miejscu. Butelka była nieodkorkowana, co sugerowało, że pan na Bellfield zwykle stroni od trunków. Marianne wiedziała, że w fabrycznej dolinie przeważali rygorystyczni metodyści, którzy z odrazą traktowali alkohol i dekadenski styl życia bogatych sfer.

W kredensie były też zakurzone kieliszki. Wzięła więc jeden, by zanieść go do sypialni.

Przystanąła na podeście. Teraz, gdy pan Denshaw odzyskał już świadomość, wołałaby nie wracać do niego. Niecierpliwie wyglądała pielęgniarki.

Nagle z sypialni dobiegło ją głucho uderzenie, któremu towarzyszyło soczyste przekleństwo. Rzuciła się do pokoju i stanęła jak wryta. Chory wstał i trzymając się ramy łóżka, chwiając się na nogach blady jak śmierć i wykrzywiony z bólu.

- Co pan wyprawia? - zawołała. - Nie wolno panu wstawać.

- Nie chciałbym obrażać twoich wrażliwych uszu, ale obawiam się, że będę musiał udać się na stronę. - Spojrzał w kierunku uchylonych drzwi najpewniej prowadzących do łazienki. - A skoro już wstałem, a ty, jak się wydaje, uzurpujesz sobie prawo do roli gospodyni, może łaskawie zmienisz mi pościel?

Był za słaby, żeby utrzymać się na nogach, i wyglądał, jakby za chwilę miał runąć. Niemniej jednak poplamiona krwią pościel wołała o zmianę.

Marianne rozejrzała się po pokoju, po czym przyciągnęła krzesło, nakłaniając krnąbrnego pacjenta, żeby na nim usiadł.

- Niestety, panna Micklehead nie dbała o pościel - oświadczyła. - Jednakowoż znalazłam parę czystych prześcieradeł, które ogrzewam przy piecu. Zejdę na dół i zaraz je przyniosę. Czy nalać panu miarkę brandy?

- Miarękę? - zarechotał chrapliwie. - Pomoże tyle, co umarłemu kadzidło.
Ale tak, możesz mi nalać.

Ostrożnie wlała niedużą ilość płynu do szklanki i podeszła do chorego.
Kiedy wyciągnął rękę, Marianne energicznie potrząsnęła głową.

- Potrzymam szklanekę, proszę pana. Stracił pan dużo krwi i jest pan osłabiony.

- Sugerujesz, że nie dam rady utrzymać szklanki? Nie myśl, że nie wiem, dlaczego tak krządasz się koło mnie.

- Panie Denshaw... - Zesztywniała.

Czy to możliwe, by przejrzał jej sekret?

- Starasz się być niezastąpiona, bo chcesz, żebym cię tu zatrzymał -
kontynuował

Poczuła ulgę.

- To nieprawda - zaprotestowała, unikając jego wzroku. - Spełniam tylko mój chrześcijański obowiązek, to wszystko.

- Twój chrześcijański obowiązek. - Skrzywił się, jakby skosztował czegoś gorzkiego. - No cóż, kiedyś stawało mi to ością w gardle. Bezduszne miłosierdzie nie nakarmi ciała ani duszy.

Ręka Marianne drżała, gdy zbliżyła szklanekę do jego ust. Słowa, pana Denshawa dotknęły wciąż żywej rany. Ona również doświadczyła oschłości i obłudy, które pozostawiły bolesny ślad w jej osobowości. To dobra chwila, by otworzyć przed nim serce. Ale nie. Nie wolno jej tego robić.

Wszystko, czego się dowiedziała o tym, co zdarzyło się w tym domu, od kiedy przybyła do Rawlesden, było zagmatwane i sprzeczne, a do tego dochodziły jej własne irracjonalne emocje. Przecież kobieta w jej położeniu, świeżo owdowiała i z dzieckiem, nie ma prawa do zmysłowych pragnień. A

takie właśnie odczuwała od chwili, gdy pan Denshaw po raz pierwszy na nią spojrział.

Jak echo rozbrzmiewał w jej sercu karcący, surowy głos:

- Skąd wiadomo, czy to miłość?

I zaraz odpowiedział mu inny, słodki i niewyraźny.

Drżała na całym ciele. W jej życiu, pełnym strat i udręki, nie było miejsca na refleksje o miłości. Nawet nie powinna o tym myśleć. Nie tutaj, a zwłaszcza nie w związku z tym mężczyzną.

To idiotyczne drżenie rąk. Dość, powiedziała sobie stanowczo. To, co robi, nie różni się niczym od tego, co robiła wiele razy wcześniej.

Ale tamci nie byli tacy jak ten mężczyzna, podpowiadał jej wewnętrzny głos.

Pograżona w myślach, wydała stłumiony okrzyk, kiedy ręka o twardej, szorstkiej skórze, ze zgrubieniami i o silnych palcach, objęła jej dłonie, przechylając szklanę i wypijając zawartość jednym haustem.

Starła się, jak mogła, nie wyszarpnąć rąk, póki sam ich nie puści.

Już po jednym łyku rozgrzewającej brandy twarz chorego nabrała kolorów.

- Musi mi pan obiecać, że nie ruszy się stąd - powiedziała. - Gdyby pan upadł...

- Cóż za nadmiar troski wobec obcego człowieka - zakpił. - Nie ufam ci, panno Brown, ot co. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

W jednej chwili krew uderzyła jej na policzki. Wołała się nie odzywać, więc pomaszerowała do drzwi i zeszła do kuchni.

Dziecko spało spokojnie. Wkrótce trzeba będzie je nakarmić. Może tym razem, skoro przestało mieć skurczony żołądek, poda mu trochę owsianki.

Zdjęła pościel, która grzała się przy piecu, i udała się z powrotem na górę.

Ponieważ pan na Bellfield siedział z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami na krześle, wiedziała, że jej nie obserwuje, więc poruszała się z większą swobodą. Zdjęła zakrwawione prześcieradło, zmarszczyła zgrabny nosek na widok niechlujnie zasłanego łóżka i szybkim, energicznym ruchem wyrównała materac, a potem położyła świeże, nagrzane płótno i fachowo, tak jak ją nauczono, podwinęła rogi.

- Jak na kogoś tak drobnego i młodego, całkiem nieźle sobie radzisz w sprawach domowych, panno Brown.

Podskoczyła nerwowo na dźwięk jego głosu. Chciała poprawić go, że jest panią Brown, wdową, ale co tam...

- Obowiązkiem gospodyni jest utrzymywanie domu chlebodawcy na możliwie najwyższym poziomie, proszę pana - powiedziała rezolutnie i zaraz dodała: - Gdyby pan wytrzymał, obmyłabym i zabandażowałam panu nogę, póki pan siedzi. Oszczędzilibyśmy prześcieradła i mógłby pan leżeć w czystej pościeli. Nie wiem, czy panna Micklehead korzystała z usług pralni, ale ośmielę się powiedzieć, że na podwórzu znajduje się budynek gospodarczy z kotłem miedzianym, gdzie można wygotować...

- Nie ma takiej potrzeby - uciął ostro. - Już i tak krąży o mnie dość plotek! Brakuje tylko, by ludzie gadali, że pana na Bellfield nie stać na pralnię i że zmusza do tego gospodynię, podczas kiedy każdy wie, że to robota dla praczki. Kiedy pojawi się tu Charlie Postlethwaite, powiedz mu, żeby poprosił wujka, właściciela pralni, by przysłał kogoś, kto zabierze wszystkie rzeczy do prania.

Marianne zrobiła wielkie oczy. Czy to oznacza, że chce zatrzymać ją w charakterze gospodyni? Nie odważyła się zapytać, bała się bowiem, że

zaprzeczy. Zamiast tego wzięła czystą miskę, nalała do niej trochę gorącej wody i uklękła koło niego.

Wiedząc, że na nią patrzy, czuła się niezręcznie, jakby uczestniczyła w intymnej czynności. Ale przecież nie dlatego drżały jej ręce i nie dlatego wstrzymywała oddech, że bała się sprawić mu ból. Zanurzyła szmatkę w wodzie i zaczęła ostrożnie zmywać zaskorupiałą krew.

Nie pisnął ani słowa, ale Marianne wiedziała, że musi go boleć, ponieważ czuła pod ręką, jak napina mięśnie. W dodatku, ponieważ rana znajdowała się po wewnętrznej stronie uda, sytuacja była naprawdę bardzo krępująca.

- Ręce ci się trzęsą jak jakiejś dziewczynie, która jeszcze nigdy nie dotykała mężczyzny - burknął. - A przecież miałaś męża.

Serce Marianne gwałtownie załomotało.

- Trzęsą mi się, proszę pana, bo boję się, żeby rana nie zaczęła znów krwawić.

Czuła na sobie jego wzrok, ale bała się spojrzeć do góry.

- A to dziecko... to chłopiec?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Spojrzała prosto w jego szarostalowe oczy.

- Tak... tak... to chłopiec.

- Miałem syna. A raczej miałbym, gdyby... - Ściągnął wargi. - Dobrze się rozwija?

- Eee... tak, tak sądzę. - Właśnie oczyściła ranę i z przerażeniem stwierdziła, że jest bardzo głęboka i rozległa. - Zabandażuję nogę, nie czekając na pielęgniarkę.

- Podaj mi brandy - zażądał.

Sądząc, że chce nalać sobie kolejnego drinka, spełniła jego żądanie, gdy tymczasem on wylał płyn prosto na ranę. Wolną ręką chwycił Marianne za ramię i wbił palce w jej skórę. Musiał cierpieć katusze.

- Twój mąż... na co umarł?

- Na wietrzną ospę, proszę pana - odparła z trudem.

- Nie byłaś obecna przy nim?

- Byłam przy nim... cały czas. - Pielęgnowała Mila do ostatniej chwili i jeszcze teraz trudno było jej mówić o tym, jak konał.

- Jak to się stało, że się nie zaraziłaś?

- Przeszłam ospę jako dziecko, a moja zmarła ciotka uważała, że ci, którzy na nią chorowali, są uodpornieni. Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby się pan położył.

- O... naprawdę tak uważasz? No więc dobrze.

Kiedy z wielkim wysiłkiem próbował wstać z krzesła, Marianne odruchowo rzuciła mu się na pomoc. Był naprawdę bardzo osłabiony, gdyż dosłownie zawisł na niej, tak że musiała mocno przycisnąć go do siebie.

Pachniał męskim ciałem i męskim potem, a kiedy jego głowa opadła na jej ramię, czuła też dotyk gęstych ciemnych włosów, które były dziwnie delikatne. Mężczyzna, którego ostatni raz trzymała w ten sposób, był umierający i był jej mężem. Marianne zamknęła oczy, modląc się, żeby piekące łzy nie wypłynęły spod powiek.

Ulżyło jej, kiedy pan Denshaw poczuł się na tyle dobrze, że sam mógł się położyć na łóżku. Przykryła ranę kawałkiem czystego materiału, na który położyła świeże prześcieradło, a na to koce i puchową kołdrę. Zauważyła, że chory ma dreszcze i postanowiła rozpalić ogień w kominku, a przy okazji nagrzać parę cegieł do łóżka.

Właśnie miała wyjść, kiedy, nie otwierając oczu, pan Denshaw sięgnął po klucze, które mu zwróciła, i powiedział:

- Masz... lepiej je zabierz, skoro już ogłosiłaś światu, że jesteś moją gospodynią.

Wbiła w niego wzrok, ale on już odwrócił głowę. Niepewnym ruchem sięgnęła po klucze. To były jej oficjalne insygnia sprawowanego urzędu, coś, co każdy przychodzący do domu rozpozna i uhonoruje.

Serce jej rozpierała radosna ulga. Nie spodziewała się, że w tak krótkim czasie zbliży się do celu, do spełnienia danej przy łożu konającego obietnicy.

Z dołu dobiegło pukanie. Pan na Bellfield leżał nieruchomo, miał zamknięte oczy, ale Marianne była pewna, że nie śpi.



ROZDZIAŁ PIĄTY

- Panienska wybaczy, że się nie pokazywałem - przeproszał od progu Charlie Postlethwaite - ale papciowi sporo czasu zajęło znalezienie starego Harry'ego, właściciela pasieki.

- Ale dał trochę? - wykrzyknęła Marianne, ciesząc się już z góry.

- Aha. Najpierw nie chciał, ale kiedy papcio powiedział, że to dla pana Denshawa...

Zachowała kamienną twarz. A więc jeszcze ktoś potwierdza, że pan na Bellfield jest człowiekiem szanowanym przez tych, którzy go otaczają, a jednocześnie inni na prawo i lewo rozpowiadają o jego okrucieństwie i niecnym postępkach wobec tych, którym należała się jego opieka.

- Pan Denshaw kazał ci powiedzieć, że chciałby się widzieć z panem Gledhillem - poinformowała chłopca.

- To główny majster fabryki. Na mieście mówi się o tym, co się stało, a wielu nie może uwierzyć, że w Bellfield doszło do czegoś podobnego, bo pan zawsze każe sprawdzać maszyny. Ci, którzy pracują w innych fabrykach, często mają wypadki, ale nie ludzie w Bellfield. Mój papcio posyła kurczaka, tak jak pani prosiła. Mówił, że chce pani ugotować na nim zupę. W sklepie mamy zupę żółwiową, ale jak się papcio domyślił, wolałaby pani ugotować rosół.

- Och, jestem pewna, że wasza zupa żółwiowa jest świetna - zapewniła dyplomatycznie Marianne - ale dla chorego rzeczywiście będzie lepszy domowy rosół. Podziękuj ojcu w moim imieniu, Charlie. Aha, pan Denshaw prosił, żebyś zapytał wuja, czy nie mógłby przysłać kogoś z pralni po rzeczy.

Chłopak kiwnął głową i odszedł, a Marianne udała się nakarmić dziecko. Właśnie skończyła, kiedy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, tym razem zwiastujące przybycie pielęgniarzki.

- Pokażę pani drogę do sypialni pana Denshawa - powiedziała Marianne, gdy wpuściła ją do środka.

- Nie ma pośpiechu. Skoro już się tyle naczekał, poczeka jeszcze trochę. Z przyjemnością wypiłabym filiżankę herbaty. - Pielęgniarka pociągnęła nosem i wytarła go brudną ręką. Czuć ją było alkoholem. - A więc przyjechałaś z Manchesteru - zagadnęła, sadowiac się przy piecu.

- Tak - skłamała dla świętego spokoju Marianne.

- Nie jesteś trochę za młoda na taką pracę?

Nie odpowiedziała, tylko zdjęła czajnik z ognia, żeby zrobić herbatę.

- Kropelka czegoś do środka nie zaszkodzi - upomniała się pielęgniarzka. - Tyle, żeby rozgrzać stare kości.

- Doktor powiedział, że przyniesie pani miksturę dla pana Denshawa - odparła, udając, że nic nie słyszała.

- Jasne. Dobra dawka laudanum go uspokoi, a my będziemy mogły się wyspać. Mam nadzieję, że słyszałaś, co się stało z jego żoną.

- Podobno zmarła w połogu. - Wolałaby z tą kobietą nie rozmawiać o prywatnych sprawach pracodawcy, ale nie bardzo wiedziała, jak się od tego wymigać.

- Tak, a niektórzy powiadają, że to nic dziwnego i że chyba musiała zgłupieć, żeby wyjść za niego. Dziesięć lat starsza wdowa z synem, który powinien odziedziczyć ten dom i całą resztę. Zawrócił jej w głowie, kiedy pojawił się i uderzył w konkury, a ona, skończona idiotka, robiła wszystko, co tylko zechciał. Ożenił się z nią z zemsty, tak mówią. I, oczywiście, żeby położyć łapę na fabryce. Musisz wiedzieć, że kiedyś ich ojcowie prowadzili

razem interes. Tylko jego tatulek postanowił przejść na swoje, ale powinęła mu się noga i popadł w długi. Palnął sobie w łeb, a ten na górze został zabrany do przytułku.

Marianne poczuła, jak żal i współczucie ściskają jej serce.

- Biedaczka - ciągnęła swoją opowieść pielęgniarca - musiała gorzko żałować dnia, w którym stanęła na ślubnym kobiercu z Heywoodem Denshawem i pewnie przewróciłaby się w grobie, gdyby dowiedziała się, co zrobił po jej śmierci. Chłopak musiał się wynieść, choć był prawowitym spadkobiercą Bellfield Mill, a ta Amelia, ta jej młodziutka kuzynka, też oddana pod kuratelę pana... Ależ panicz robił do niej słodkie oczy! Więc oboje młodzi uciekli, a niektórzy powiadają, że ktoś ich wyklął i już nigdy nie wróca, i że pewnie teraz leżą w grobie... - Na widok drżących rąk Marianne dodała: - Masz rację, że się boisz, dziewczyno. Pan na Bellfield jest strasznym człowiekiem. Na twoim miejscu - zmieniła temat, spoglądając z dezaprobatą na niemowlę w koszyku - zawinęłabym to dziecko mocniej w powijaki, żeby tak nie wierzgało. Odrobina laudanum na noc do mleka, a będzie ciche do rana. Wszystkim to mówię i jeszcze żadna matka nie skarżyła się, że nie może usnąć, ani żaden mąż nie poskarżył się, że jego kobieta nie spełnia powinności małżeńskich.

Marianne podeszła do dziecka i położyła na nim rękę w obronnym geście. Napatrzyła się w przytułku na niemowlęta ściśnięte powijakami, leżące tak nieruchomo, że czasami trudno było powiedzieć, czy żyją, czy już umarły. Nie pozwoliłaby nigdy potraktować w podobny sposób małego Milesa.

- Niektórzy uważają, że jego siostra powinna go przygarnąć do siebie, ale nie godzi się szkalować porządnej chrześcijanki, jaką jest pani Knowles, za to, że nie chce przyjąć do siebie takiego nicponia. Zawsze pakował się w tarapaty. Raz uciekł z przytułku i trzeba go było sprowadzać z powrotem. Pani Knowles i jej mąż mieszkali tu wtedy z uwagi na zdrowie pana Knowlesa. Zawsze był

słabego zdrowia, więc nic dziwnego, że umarł, a ona została wdową. Na szczęście ma dobrego syna, który zajął się jej sprawami. Jak powiedziałam, jest prawdziwą chrześcijanką i poleca mnie wszystkim swoim znajomym.

Marianne starała się nie okazywać zdumienia. Pielęgniarka była nie tylko niepohamowaną plotkarą i pijaczką, ale również strasznym niechlujem. Z pewnością w karygodny sposób zaniedbywała pacjentów, dbając tylko o swoje wygody i napitek.

- Czy pani Knowles mieszka w okolicy? Jestem pewna, że pragnęłaby zostać powiadomiona o wypadku brata. Niewykluczone, że chciałaby też doglądać go w czasie rekonwalescencji - zasugerowała Marianne.

- No cóż, brat niebrat, ale po tym, jak ją ostatnio potraktował, kiedy próbowała mu pomóc, zdziwiłabym się, gdyby jeszcze kiedyś jej noga postąpiła w tym domu. Poza tym ona i pani były dobrymi przyjaciółkami, więc pani Knowles obwinia się za to, że poznała ją z bratem. Nie, nie ma potrzeby posyłać wiadomości do Mount Vernon, zresztą i tak pani Knowles teraz tam nie ma. Spędza zimę w Torquay ze względu na płuca swojego Jeffreya. Wróci dopiero na wiosnę, a do tego czasu... Cóż, wszystko może się zdarzyć.

Nie miała cienia wątpliwości, do czego to była aluzja. Zadrżała na myśl, że ktoś, kto powinien nieść pomoc cierpiącemu, może się cieszyć perspektywą jego śmierci.

A kiedy dostrzegła, jak pielęgniarka wyciąga ukradkiem z kieszeni flaszkę i wlewa jej zawartość do herbaty, zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Do czasu, kiedy Marianne otworzyła tylne drzwi wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, który przedstawił się jako Archie Gledhill, kierownik fabryki, pielęgniarka już głęboko spała, pochrapując i cuchnąc mocno alkoholem.

- Proszę, niech pan wejdzie, panie Gledhill. - Marianne uśmiechnęła się grzecznie do niego. - Jestem nową gospodynią pana Denshawa.

- Tak, słyszałem. Jakie to szczęście, że jest pani tutaj i w ogóle. -

Rozejrzał się po idealnie czystej kuchni, lecz wyraz zadowolenia zniknął z jego twarzy na widok pielęgniarki. - Chyba nie pozwoli jej pani zbliżyć się do pana?

- Wolałabym nie, ale przysłał ją tutaj doktor Hollingshead.

- Po tym, co stało się z panią i z dzieckiem, pan natychmiast wyrzuci ją za próg. Niech pani posłucha dobrej rady i odeśle ją stąd.

- To nie będzie takie proste.

- Mogę to załatwić - zaoferował się z ochotą.

Marianne skinęła głową. Archie Gledhill umocnił ją w przekonaniu, że należy pozbyć się tej, pożałuj Boże, pielęgniarki. W swoim domu zrobiłaby tak z miejsca, tu jednak nie czuła się jeszcze zbyt pewnie.

- Pójdę do pana Denshawa i powiadomię o pańskiej wizycie. A może filiżankę herbaty?

- Jest pani bardzo uprzejma, ale będzie lepiej, jeśli najpierw zobaczą się z panem.

- Proszę chwilkę poczekać, zaraz go powiadomię.

Drzwi do sypialni, które uprzednio zamknęła, teraz były lekko uchylone. Zapukała delikatnie, ale nie usłyszała odpowiedzi, weszła więc do środka.

Koło łóżka leżał stos ubrań, pachniało mydłem karbolowym, a na podłodze widniały prowadzące z łazienki mokre ślady.

To zdumiewające i godne pochwały, że ktoś tak cierpiący uznał za konieczne rozebrać się i umyć.

- Powinien był pan mnie zawołać, jak pan chciał wstać - zganiła go z troską w głosie i podeszła do łóżka.

- A ty byś mnie umyła jak niemowlę! Jestem mężczyzną, pani Brown, a ta obrączka na twoim palcu i świadectwo ślubu nie upoważniają cię do tego, żebyś poczynała sobie ze mną, jakbym był dzieckiem.

Poczuła, że czerwieni się z zakłopotania.

- Przyszedł pan Gledhill - oznajmiła wyniosłym tonem. - Czy mam go tu wprowadzić?

- Tak.

- Rozmawiałam z Charliem Postlethwaitem w sprawie prania. Jeszcze nie zdążyłam posegregować bielizny, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby pańskie nocne koszule zostały...

- Nocne koszule? - Popatrzył na nią kpiąco. - Jestem fabrykantem, pani Brown, a nie ziemianinem, i śpiam w tym, w co wyposażyła mnie natura, czyli we własnej skórze. To najlepszy strój w małżeńskim łóżu, zarówno dla mężczyzny, jak i dla kobiety.

Czym prędzej wypadła z pokoju w obawie, że powie o jedno słowo za dużo.

Jak na kogoś tak ciężko rannego, pan na Bellfield wykazywał zbyt wiele tężyzny i roztaczał wokół siebie niepokojąco męską aurę. Serce jej biło mocno. Jeszcze nigdy nie widziała mężczyzny o tak atletycznych ramionach i równie potężnej klatce piersiowej... Marianne omal nie spadła z ostatniego stopnia i nadal miała wypieki na twarzy, gdy dotarła do kuchni. Pan Gledhill kołysał koszyk z dzieckiem, a krzesło przy piecu było puste.

- Obudził się i zaczął trochę marudzić.

- Pewnie jest głodny.

- Pewnie tak. Też mam synka, świetnego chłopaczka - powiedział z dumą. - Kazałem pielęgniarce wynosić się stąd. Zaryglowałem też tylne drzwi na wypadek, gdyby chciała wrócić i nabić sobie kieszeń. Wredna z niej baba. Niejedna rodzina straciła przez nią kogoś bliskiego. Po tym, co stało się z żoną pana, moja żona powiedziała, że woli raczej, by poród naszego małego odebrał pasterz z farmy niż doktor Hollingshead.

- Zaprowadzę pana na górę. Proszę za mną.

Tym razem, kiedy zapukała do drzwi, a potem je otworzyła, celowo nie patrzyła w stronę łóżka i jak najszybciej opuściła sypialnię.

Upłynęło trochę czasu, zanim majster wrócił do kuchni. Marianne od razu zauważyła jego zaaferowaną minę.

- Pan prosił powiedzieć, żeby na czas jego choroby zwracała się pani do mnie ze wszystkimi sprawami dotyczącymi prowadzenia domu. Powiedział, że dostanę od pani listę zakupów i spraw, które trzeba załatwić. Mam zamienić słówko z dostawcami i powiedzieć im, że dopóki pan nie wyzdrowieje, będę się z nimi rozliczać. - Sięgnął do kieszeni, wyjął kilka błyszczących monet i położył je na stole. - Powiedział, żeby dać to pani. Tu są dwie gwinee w szylingach. Powiedział też, żeby zapisywała pani wydatki do wglądu. Jeśli mogę jeszcze w czymś pomóc...

- Mam jedną prośbę - pośpiesznie wyrzuciła z siebie Marianne. - Dom jest wilgotny i zimny, a chciałabym, żeby w sypialni palił się na stałe ogień w kominku. Na podwórzu jest komórka na koks, ale raczej nikt o nią nie dba i nie zaopatruje domu w opał.

- Tak, oczywiście. Pan wspomniał, żebym przysłał jakiegoś chłopaka na miejsce starego Berta, który dotąd zajmował się takimi pracami. Już dawno powinien być zastąpiony przez kogoś młodszego, ale pan wciąż mówił, że skoro Bert przepracował tu całe życie, byłoby nie w porządku go zwalniać, chociaż prawda jest taka, że w ostatnich latach niewiele już robił. Czasami pan ma zbyt miękkie serce.

- Aha... - Nie była w stanie ukryć zdumienia.

Nigdy by nie opisała pana na Bellfield jako człowieka o zbyt miękkim sercu.

- Przyślę kogoś z samego rana. Znam chłopaka, który się do tego nada. Naprawdę przykłada się do roboty. Pan powiedział, że będzie pani potrzebna dziewczyna do cięższych robót.

- Tak, to duży dom i bardzo zapuszczony przez poprzednią gospodynię. - Choć była staranna i pracowita, sama ze wszystkim nie dałaby rady, to oczywiste.

- Ach, ta panna Micklehead... I jeszcze pan powiedział, że może pani skorzystać z pokojów dla gospodyni, i że będzie pobierać piętnaście gwinei rocznie, mieć dla siebie koszt opału każdego dnia, no i pełne utrzymanie dla siebie i dziecka.

Piętnaście gwinei! Pełne utrzymanie! Marianne ponownie skinęła głową. To były naprawdę hojne warunki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczorem, kiedy zaszło słońce, pojawił się księżyc w pełni, a ziemię na podwórzu pokrył błyszczący biały szron.

Ben, przysłany przez majstra człowiek, okazał się pracowitym, nieśmiałym i powściągliwym w słowach młodzieńcem. Jego kuzynka Hannah miała zaglądać co rano i dowiadywać się, czy nie trzeba pomóc przy cięższych pracach.

W ciągu dnia zjawił się też uśmiechnięty posłaniec z pralni i zabrał wielki toból rzeczy do prania.

Marianne zdążyła obejrzeć pokoiki na poddaszu, które pan domu oddał do jej dyspozycji. Były zaniedbane, musiała więc porządnie je wyszorować i powlec nowym materiałem materac. Tę noc spędzi jeszcze w kuchni, gdzie jest czysto i ciepło. Na poddaszu znajdowały się też pokoje dzieciinne. Kiedyś rozbrzmiewały tu śmiechy chłopca i dziewczynki, którzy, jak głosi miejscowa plotka, zostali zmuszeni do opuszczenia domu z powodu okrucieństwa człowieka, który był ojczymem jednego i prawnym opiekunem drugiego.

Na oknach dostrzegła zabezpieczające kraty, a przed kominkiem dużą mosiężną kratę paleniska, na której niania mogła suszyć ubranka lub podpiekać grzanki na podwieczorek dla dzieci.

Na Marianne duże wrażenie zrobiła oddzielna łazienka, wyłącznie na użytek dzieci, ze spłukiwaną toaletą i z dużą wanną.

Teraz jednak była zajęta w kuchni.

Chociaż wielokrotnie zachodziła na górę, stwierdzała za każdym razem, że pan na Bellfield śpi, więc mu nie przeszkadzała. W kuchni unosił się mocny

zapach rosółu, najlepszej potrawy dla chorego, a kot, który z dumą położył przed Marianne trzy nieżywe myszy, grzał się przy piecu.

Nagrzała wodę i zebrała wszystko, co potrzeba do obmycia i zabandażowania rany, i jeszcze raz udała się na górę. Tym razem, kiedy zapukała do drzwi, pan Denshaw nie tylko nie spał, ale siedział oparty o poduszki i z marsową miną wpatrywał się w okno.

- Przyniosłam trochę wody i czyste ręczniki na wypadek, gdyby pan chciał się odświeżyć, zanim przyniosę zupeę. Ale najpierw muszę obejrzyć ranę - zakomunikowała.

- Moja rana zatroszczy się sama o siebie - odparł kpiącym głosem.

Marianne nie dała jednak za wygraną.

- Cieszę się, że tak pan uważa, ale wołałabym osobiście się o tym przekonać.

- Świetnie, ale ostrzegam, że mam pusty żołądek i nie chcę, by cackano się ze mną jak z dzieckiem.

Puściła to mimo uszu, przyciągnęła do łóżka fotel i rozpostarła na nim czysty ręcznik.

- Niby do czego to ma służyć?

- Dobrze by było, gdyby oparł pan na tym nogę, żeby nie pobrudzić pościeli, kiedy będę przemywać ranę.

- Mam na tym położyć nogę?

- Tak, jeśli pan tak uprzejmy.

Dotąd udawało się jej koncentrować wzrok na deseni tapety, dzięki czemu mogła odciągnąć uwagę od nagiej męskiej klatki piersiowej, ale teraz, kiedy pan Denshaw poruszył się i kładł nogę na krześle, prześcieradło zsunęło się niżej i obnażyło większą część jego torsu.

Zaschło jej w gardle. Co się ze mną dzieje! - pomyślała ze złością. Przecież pielęgnowała już rannych mężczyzn, opiekowała się chorym mężem aż do jego śmierci i wielokrotnie przemywała trawione gorączką ciało...

Ale ten mężczyzna był inny. Rozbudzał w niej kobiecość i sprawiał, że traciła nad sobą kontrolę. Było jednak za późno, żeby stąd uciec. Poza tym dała słowo i musi tu zostać, niezależnie od tego, ile to będzie ją kosztować.

Odetchnęła głęboko i zdjęła opatrunek. Krwawienie zatrzymało się, pojawił się natomiast źle wróżący czerwony obrzęk wokół rany. To mogło oznaczać tylko jedno - w ranę wdała się ropa.

- Czyżbyś już wyobraziła sobie mnie na marach?

- Rana jest zaogniona, proszę pana, ale nie sędzę, żeby od tego miał pan umrzeć - orzekła, nadrabiając miną. - Przemyję ją i zabandażuję, ale uważam, że powinien pan wezwać doktora Hollingsheada.

- Tego szarlatana? Niech się nawet do mnie nie zbliża!

- Więc może jakiegoś innego doktora?

- A może mam sobie sprowadzić lekarza z Manchesteru, podobnie jak moją nową gospodynię? - prowokował ją.

Nie odpowiedziała na tę zaczepkę, tylko zabrała się do następnych czynności pielęgnacyjnych. Najpierw przegotowaną wodą obmyła ranę, przykładając do niej gorące kompresy, tak jak uczyła ją ciotka, następnie sięgnęła po miód.

- A to co takiego? - oburzył się niesforny pacjent, próbując zsunąć nogę z fotela.

- To jest miód, proszę pana. Moja ciotka wierzyła w jego ogromną skuteczność w leczeniu zainfekowanych ran.

- Być może, ale mnie to jest niepotrzebne. Polej skaleczenie brandy, a potem opatrz je i na tym koniec.

Wiedziała, że nic nie wskóra, więc zrobiła, co kazał, choć mogłaby przysiąc, że rana jeszcze bardziej się zaogniła.

- Przyniosę panu zupeę.

Skinął krótko głową, a Marianne była przekonana, że cierpi bardziej, niż chce to pokazać. Nie dyskutując z nim, pośpieszyła do kuchni.

Podczas gdy była na górze, niebo zachmurzyło się, i zaczął padać tak gęsty śnieg, że widoczność zmalała prawie do zera.

Trzęsąc się z zimna, Marianne szybko zamknęła i zarygłowała drzwi, po tym jak wpuściła kota, który wychodził za potrzebą. Znalazła w bieliźniarce koce i poduszki i umościła sobie posłanie na ławie, która służyła też do spania. W pomieszczeniu było ciepło i przytulnie.

Coraz bardziej ożywiony malec wyciągnął do niej ramionka i uśmiechnął się.

- Powinieneś spać. - Mimo to wyjęła dziecko z koszyka. Stwierdziła z radością, że wyraźnie przybyło mu ciała.

Śmiała się, kiedy łapczywie chwycił łyżeczkę, którą go karmiła, śmiała się także, kiedy chłopczyk powitał jej śmiech radosnym gaworzeniem.

- Ojej, ale tatuś byłby z ciebie dumny - rozculiła się.

Wiele razy podczas uciążliwej podróży zadawała sobie pytanie, czy postępuje słusznie, i nadal nie знаła odpowiedzi.

Zdaniem pielęgniarki i doktora pan na Bellfield okrutnie traktował swoją zmarłą żonę. Opuścił ją w godzinie, kiedy najbardziej go potrzebowała, przyczyniając się pośrednio do śmierci i jej, i dziecka. Pozbył się również pa-sierba, który był prawowitym właścicielem majątku, za jego też sprawą zniknęła młoda niewinna dziewczyna, której był prawnym opiekunem.

Z kolei majster mówił o nim ciepło i w samych superlatywach, podobnie jak inni. Komu tu wierzyć? Chłopczyk ziewnął i zamknął oczka. Marianne zniosła go do koszyka i pocałowała w czółko.

Minęła dziesiąta i ogarnęło ją zmęczenie. Kiedy wyszoruje pokoje na poddaszu, z przyjemnością wykąpie się w łazience, teraz jednak musiała poprzestać na gorącej misce z wodą. Ale nawet to było luksusem w porównaniu z tym, co znała z przytułku.

Rozpuściła włosy, żeby je wyszczotkować. Nie miała nocnej koszuli. Może pan Gledhill zna kogoś, od kogo mogłaby kupić kawałek flaneli.

W pokoju dzieciennym jest maszyna do szycia, mogłaby więc uszyć coś dla siebie i dla małego.

Modnisie mogą sobie nosić „zdrowotne” gorsety i podkreślać tak podziwianą przez króla „talię osy”, ale gdyby nawet mogła sobie pozwolić na taki wydatek, nie było sensu marnować pieniędzy, bo i tak nie miałby kto jej tego sznurować.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pomyślała o tym, jak bardzo jest samotna. Wszyscy, których kochała, odeszli z tego świata. Dobrze chociaż, że jej ukochana ciotka już się nie dowie, jak jej siostrzenica została potraktowana przez tych, którzy mieli się nią opiekować. Majątek ciotki, który należał się Marianne, został sprzedany za jej plecami, a pieniądze poszły na spłacenie pożyczki bankowej, która, jej zdaniem, nigdy nie została zaciągnięta.

Życie w przytułku jawiło się jej jak straszny sen, ale to właśnie tam poznała, a potem straciła swoją najlepszą i najdroższą przyjaciółkę. A także Mila. Biedak, tak strasznie pragnął żyć i tak dzielnie walczył do końca z chorobą. Tuż przed śmiercią poprosił, żeby dała mu potrzymać synka...

Nie, nie pora na smutek, trzeba się otrząsnąć! Teraz znajduje się w Rawlesden, bo tego życzył sobie Milo.

Nie mając proszku, umyła zęby szczyptą soli, obiecując sobie, że zdobędzie się na odwagę i poprosi pana Gledhilla o zaliczkę na kupno niewielkiej ilości artykułów pierwszej potrzeby na własny użytek.

Była taka zmęczona, że gdy położyła głowę na poduszce, natychmiast powieki jej opadły i zasnęła.

Obudziła się gwałtownie. Jeszcze nieprzytomna, pomyślała o mężczyźnie na górze i o zaognionej ranie. Odrzuciła koc i stanęła na podłodze.

To dziwne, ale czuła się odpowiedzialna za tego człowieka, i to znacznie bardziej, niż było to właściwe najemnej pracownicy.

Pewnie teraz śpi, pomyślała, zapalając latarnię, i będzie zły, kiedy zostanie obudzony. Wiedziała jednak, że nie zazna spokoju, póki nie obejrzy rany.

Przystanąła, zanim nacisnęła klamkę, i otworzyła drzwi. Na kominku płonął ogień, ale z pewnością to nie od jego blasku twarz pana na Bellfield była taka rozpalona. Oddychał szybko i nierówno, jego ciałem wstrząsały krótkie spazmy, jakby ból nie opuszczał go nawet we śnie. Głowę miał zwróconą w stronę okna. Na stoliku obok łóżka Marianne dostrzegła butelkę brandy i pustą szklanekę.

Zadrzała. Czyżby miały się spełnić jej najgorsze obawy?

Odstawiła latarnię, podeszła do łóżka i położyła rękę na czole chorego. Było rozpalone. Oderwała dłoń, wiedząc, że musi koniecznie sprawdzić ranę. Wszędzie unosił się zapach brandy, która pomogła mu zasnąć i trochę uśmierzyła ból. Modliła się w duchu, żeby pan się nie obudził, ponieważ tym razem zamierzała postąpić po swojemu i zastosować odkażający miód.

Skrzywił się, kiedy odsunęła kołdrę i koce, ale spał nadal. W świetle latarni ujrzała to, czego wolałaby nie zobaczyć. Udo było spuchnięte, skóra

napięta i świecąca, ale kiedy przyjrzała się z bliska, Bogu niech będą dzięki, nie dostrzegła czerwonej pręgi, co oznaczało, że rana nie ropyje.

Pracowała najszybciej, jak mogła, przykładając na przemian gorące i zimne kompresy, potem nasączyła ranę miodem i zabandażowała nogę.

Była tak zaabsorbowana pracą, że prawie przestała oddychać, a z wysiłku zrobiło jej się gorąco.

Na szczęście pan na Bellfield nie otworzył oczu. Teraz, kiedy skończyła, przykryła go z powrotem i jak każda dobra pielęgniarka obeszała łóżko, żeby poprawić poduszki i dokładnie przykryć chorego.

Zaferowana pochyliła się nad nimi i zamarła z przerażenia, gdy otworzył nagle oczy i chwycił jej włosy, które opadły mu na tors.

- Po co przychodzisz i dręczysz mnie? - zapytał niewyraźnie. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Chyba nie myśli tego, co mówi? - przeraziła się Marianne.

Pomyślała, że majaczy i myli ją z inną kobietą. Z jakiej jednak przyczyny ta świadomość sprawia jej taką przykrość?

- Dlaczego? - powtórzył, najwyraźniej czekając na odpowiedź.

- Ja... przepraszam... Nie miałam wyboru. Trzeba było to zrobić.

- Jakże słodko pijesz słowa z mych ust, a ja szaleję, by oddychać twoim oddechem.

Te słowa na pewno nie były przeznaczone dla niej. Brandy i ból pomieszały mu w głowie. Brał ją za kogoś innego. Może za swoją podopieczną, kuzynkę żony, tę piękną młodą dziewczynę zakochaną w jego pasierbie, a której on pożądał tak strasznie, że zadreńczył ją na śmierć.

Marianne próbowała się cofnąć, ale zdecydowała się na to zbyt późno. Był od niej o wiele silniejszy. Udało mu się podciągnąć wyżej.

Zamknęła oczy i jęknęła, kiedy wsunął dłonie w jej włosy i pocałował w taki sposób, w jaki mężczyzna może całować tylko swoją żonę.

Zrazu fala gniewu wstrząsnęła jej ciałem, by jednak po chwili zamienić się w coś, czego nie знаła - coś, co kazało jej ulec, co graniczyło z wyuzdaniem i było tak rozkoszne, że się kompletnie zatraciła...

Czuła, jak zsuwał ramiączko jej koszuli, jak niecierpliwie przesuwał w dół rękę, miała wrażenie, że żar jego pocałunku idzie w parze z namiętym pragnieniem pieszczoty jej piersi.

Ugięły się pod nią kolana i upadła na niego, przylegając obnażonymi piersiami do jego nagiego torsu. To, na co mu pozwoliła, było złe, było grzeszne, a mimo to...

- Opętałaś mnie. - Jego słowa, kiedy wyciskał pocałunki na jej skórze, bełkotliwe i tłumione, były jak krzyk udręczonego człowieka,

Musi się opamiętać i położyć temu kres. Wyciągnęła rękę, żeby go odepchnąć, i wtedy poczuła pod palcami kędzierzawe, miękkie włosy. Jej dłoń znieruchomiała. Przyciągnęła go do siebie i nachyliła się nad nim. To było ze wszech miar niestosowne, ale czy nie czuła gdzieś w ciemnych zakamarkach swojego jestestwa, że coś nieprzeparcie ciągnie ją do niego?

- Dlaczego mi to robisz? - Złowrogi krzyk Denshawa wypełnił całą przestrzeń. Odwrócił się od Marianne, jakby z odrazą, potem znów krzyknął, tym razem z bólu, kiedy uraził nogę, sięgając po brandy.

Chciała go powstrzymać, ale przytknął już butelkę do ust i pociągnął duży łyk, potem opadł z powrotem na poduszki, zamknął oczy i rozluźnił uścisk palców na butelce, pozwalając Marianne wyjąć mu ją z rąk.

Zaraz potem wstydliwym gestem poprawiła na sobie koszulę. Zamiast się wyrwać, trwała jeszcze jakiś czas w jego ramionach, tłumacząc sobie, że powoduje ją troska o chorego, bo przecież nie było żadnego innego powodu.

Zasnął dzięki brandy, ale to nie był spokojny sen. Teraz pewnie i ona nie będzie mogła spokojnie zasnąć. Ani teraz, ani chyba już nigdy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nastał poranek i Marianne, siedząc przy łóżku pana na Bellfield, który oddychał płytko i co jakiś czas wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki, skierowała wzrok na widok za oknem.

Gruba warstwa śniegu i potężne zaspy nawiane przez wiatr odcięły dom od świata.

Po tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, bała się, że nie starczy jej odwagi, by spojrzeć panu Denshawowi w oczy, a kiedy wreszcie wzięła się w garść i wstała z zamiarem opuszczenia sypialni, stwierdziła, że bardziej martwi ją pogarszający się stan zdrowia pacjenta niż własne poczucie winy.

Zeszła na dół i podniosła słuchawkę, chcąc wezwać pomoc, ale telefon był głuchy, najpewniej z powodu wczorajszej zadymki.

W nadziei, że może nastąpiła jakaś poprawa, jeszcze dwukrotnie zachodziła na górę i oglądała ranę, ale stan chorego był bez zmian.

Jedyna pociecha, że nie pojawiła się jeszcze czerwona pręga.

Marianne wiedziała, co należało zrobić, ale taki zabieg powinien wykonać doktor albo wykwalifikowana pielęgniarka. Sęk w tym, że byli tu sami, uwięzieni przez śnieg, a gdyby miała czekać na odwilż...

A jeśli sama natnie ranę i spróbuje oczyścić ją z ropy, czy nie pogorszy tym sprawy? Może jednak lepiej poczekać. Przecież śnieg nie będzie leżał wiecznie. Z drugiej strony na co tu czekać? Na śmierć pana tego domu?

Zadumała się o dziecku, o zmarłym mężu i złożonej mu obietnicy.

Rozdzierający krzyk położył kres jej rozmyślaniom.

- Lucinda... muszę być przy niej... Dziecko... - Denshaw poderwał się, usiadł na łóżku i otworzył szeroko oczy.

Marianne wiedziała jednak, że jej nie widzi.

- Cii... cii - uspokajała go. - Wszystko będzie dobrze.

Poduszki były mokre od potu. Nie wolno dłużej zwlekać. Trzeba niezwłocznie otworzyć ranę.

Upewniła się, że przyniosła wszystko, co potrzeba. Ze ściśniętym żołądkiem i mocno bijącym sercem spojrzała na ostry nóż leżący na tacy razem z czystymi miskami, świeżymi bandażami i talerzykiem miodu. Wyszorowała ręce gorącą wodą i mydłem karbolowym. Popatrzyła na butelkę brandy i naląła trochę do szklanki, wiedząc, jaki ból zada pacjentowi.

Wzięła nóż i trzymała go w płomieniach ognia kominka, dopóki nie zrobił się czerwony. Wtedy podeszła do łóżka, odetchnęła głęboko i najprędzej, jak mogła, przekłuła ranę.

Kiedy trysnęła ropa, nie zważając na mdłości spowodowane odrażającym widokiem i zapachem, Marianne szybko i sprawnie usuwała resztki ropy i przemywała ranę.

Dopiero kiedy była już pewna, że wszystko zostało dokładnie oczyszczone, sięgnęła po brandy i polała chore miejsce.

Pan Denshaw zawył z bólu, a kiedy tym razem spojrzał na nią, nie miała wątpliwości, że wie, kogo ma przed sobą.

Upłynęła godzina, a potem kolejna, a jej pacjent ciągle spał, tyle że odrobinę spokojniej. Marianne zmusiła się, żeby wyjść z sypialni i zajrzeć do dziecka, a także zająć się innymi obowiązkami. W końcu, jak mawiała jej ciotka, sen jest najlepszym lekarzem.

Kiedy znalazła się w kuchni, nakarmiła malca i powiedziała mu, jak bardzo tatuś go kochał i dlaczego przywiozła go tutaj.

Chłopczyk usnął w jej ramionach. Słowa wypowiedziane łagodnym tonem do maleńkiego dziecka nie dawały jej spokoju. Czy dobrze robi, że zwleka tak długo? Czy nie powinna od razu powiedzieć prawdy panu na Bellfield?

- Twój ojciec prosił, żebym przywiozła cię tutaj, bo to był jego dom - powiedziała śpiącemu dziecku, zdradzając powód ich obecności w tym miejscu, powierzając sekret, który tak ciążył jej na sumieniu.

Bellfield Hall, jakim zapamiętał go Milo i o którym wspominał tak często, był szczęśliwym domem jego dzieciństwa i lat młodości. Nie pamiętał swojego ojca, który, jak mu powiedziano, zginął pod kołami powozu, gdy stangret stracił panowanie nad końmi. Mówił jej też o bólu po stracie matki, która umarła w połogu, podobnie jak jej nowo narodzone dziecko. Zwierzył się ze złości i urazy, które żywił do ojczyma.

- Winiłem go za śmierć matki. Jego miłością była fabryka, nie ona. Nie mogłem tego zrozumieć... wtedy jeszcze nie wiedziałem, do czego może popchnąć miłość.

Starła się powstrzymać łzy, gdy wspominała tamtą rozmowę. Niemal słyszała dalsze słowa Mila:

- Umieram, Marianne. Chciałbym, żebyś zabrała nasze dziecko do mojego ojczyma, chcę, żebyś oddała mu list, który napisałem do niego. To twardy, ale uczciwy człowiek. Wierzę, że spełni swój obowiązek wobec mojego syna... w końcu jestem jego spadkobiercą, a po mnie dziedziczy mój syn.

Marianne nie chciała dyskutować z umierającym mężem, ale obiecała sobie, że nie wyjawia prawdziwego powodu przyjazdu do Rawlesden ani

tożsamości Milesa, zanim nie upewni się, jak zostanie potraktowane to niewinne dziecko. W końcu pan na Bellfield pozbył się Mila z domu. Ożenił się z kobietą, której nie kochał, po to, żeby przejąć majątek. Jest pełnym wigoru mężczyzną w kwiecie wieku; co będzie, jeśli ożeni się ponownie i spłodzi dzieci? Jaki byłby los Milesa, gdyby powierzyła go jego opiece?

Dzień dłużył się, minuty wlokły się jak godziny, pan na Bellfield spał, podczas gdy Marianne nadal biła się z myślami. Jak długo będzie jeszcze musiała ukrywać prawdę? Ale czy w obliczu Boga nie obiecała Milowi, że zapewni bezpieczeństwo jego synowi?

Nieżyjąca żona, nieżyjący pasierb i zaginiona bez śladu podopieczna. Czy naprawdę takiemu człowiekowi może powierzyć bezbronne dziecko?

A co z jej uczuciami? Wdowiec, który ożenił się dla zysku i podobno namiętnie kochał młodą dziewczynę, która nie odwzajemniała jego miłości. Czy naprawdę takiemu człowiekowi może powierzyć swoje bezbronne serce?

Jej serce już i tak jest stracone, stwierdziła Marianne, ale o dziecko potrafi walczyć i wykrzesać z siebie taką siłę, na jaką nie byłoby jej stać we własnej sprawie.

Był wieczór, a pan na Bellfield nadal spał uzdrawiającym snem.

Spełniła swój obowiązek. Teraz będzie mogła zająć się tym, co ją tu sprowadziło.

Jakże wiele sprzecznych opinii nasłuchiwała się na temat pana tego domu. Sam Milo mówił, że ojczym okazywał mu wiele serca zaraz po ślubie z jego matką.

- Dopiero po jej śmierci, kiedy oznajmiłem, że chcę poślubić Amelię, jego stosunek do mnie uległ radykalnej zmianie. Orzekł, że jestem za młody i nie mam pieniędzy, bo dysponuję tylko tymi, które otrzymuję od niego na

bieżące wydatki. Przekląłem go wtedy, bo to za jego namową matka uczyniła go powiernikiem mojej schedy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Aż trudno uwierzyć, że w ciągu trzech krótkich dni pogoda może tak bardzo się zmienić. Śnieg zniknął z miasteczka i nad Bellfield Hall zaświeciło słońce. Zdrowie pana Denshawa poprawiało się z każdą godziną, a wraz z nim narastało jego poirytowanie.

Ani razu nie poruszył tematu, którego się obawiała, w końcu więc uznała, że nie zachował w pamięci intymnej sceny, która rozegrała się w malignie. Oczywiście Marianne poczuła ulgę, bo jakżeby inaczej! A że cierpiało na tym jej serce? To nic, pozbiera się jakoś.

Poprawa pogody sprawiła, że wieść o rekonwalescencji pana na Bellfield sprowadzała do frontowych drzwi coraz więcej gości, którzy pytali o jego zdrowie.

Zawsze wesoly Charlie dyskretnie wręczył jej paczuszkę z elegancką nową sukienką i stosownym fartuszkim oraz z krótkim liścikiem od majstra, który wyjaśnił, że spełnia polecenie pana. Nowe ubranie przyszło w samą porę, biorąc pod uwagę pozycję gości odwiedzających jej chlebodawcę. Na szczęście doktor ani pielęgniarka nie pojawili się na horyzoncie.

W nowej sukience, z porcelanowymi filiżankami na tacy i z herbatą w pogotowiu, Marianne czuła się na tyle pewna siebie, że gdyby zaszła potrzeba, mogłaby przyjąć samego burmistrza w imieniu pana domu.

Pukanie do frontowych drzwi obwieściło przybycie kolejnego gościa. Tym razem mężczyzna nie przedstawił się jako znajomy fabrykant, ale jako wielebny Peter Johnson.

Pastor był człowiekiem słusznego wzrostu, lekko przygarbionym, o szczupłej twarzy i zapadniętych policzkach. Z jego oczu biła żarliwa religijność. Marianne przypomniała sobie, że tak właśnie opisał go Milo, dodając, że Amelia bardzo się go bała. Podobno w młodości pragnął zostać misjonarzem, a kiedy nie spełniło się jego marzenie, zgorzkniał i zaczął grzmieć z ambony o ogniu piekielnym, który czeka jego duszyczki, gdy zбочą z drogi prawdy i cnoty.

Opowiadał również o oburzeniu wielebnego, gdy Milo i paru innych młodzieńców zaczęli paradować po mieście w spodniach z modnie podwiniętymi mankietami.

- Powiadomię pana Denshawa o pańskim przybyciu - powiedziała, zamierzając wprowadzić pastora do biblioteki, teraz już lśniącej czystością i z ogniem płonącym na kominku.

Jednak wielebny potrząsnął głową i powiedział ostrym tonem:

- Moja sprawa nie może czekać. Zaprowadź mnie do niego natychmiast.

Nie ośmieliła się odmówić, poprowadziła więc gościa na górę i z duszą na ramieniu zapukała do drzwi.

Pan na Bellfield siedział przy biurku w towarzystwie barczystych, postawnych pracowników fabryki.

- Przyszedł wielebny Johnson, proszę pana - zaanonsowała, po czym odwróciła się z zamiarem odejścia.

- Zaczekaj - rozkazał pastor i zwrócił się do pana na Bellfield. - Ta kobieta musi tu zostać i wysłuchać, co mam do powiedzenia, bo to dotyczy jej obecności w domu nieżonatego mężczyzny.

- Och... - Spłoszona Marianne opuściła głowę, bojąc się spojrzeć na obecnych tu mężczyzn, chociaż czuła na sobie wzrok chlebobdawcy.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy doszło do moich uszu, że wolny mężczyzna i wdowiec pozwala młodej kobiecie pełnić rolę pielęgniarki i wykonywać intymne czynności przy sobie, co musi budzić słuszne oburzenie przyzwoitych osób, do których to dotarło. Ta kobieta musi natychmiast stąd odejść, a pan musi odpokutować za swój grzech - grzmiał wielebny, jakby przemawiał z ambony. - To grzech, mieszkacie pod jednym dachem...

- Cieszę się, że wielebny mnie odwiedził, bo właśnie zamierzałem go zaprosić przez mojego majstra. - Głos gospodarza był spokojny, lecz chłodny.

- Chciał się pan ze mną widzieć?

- Tak. Pragnąłem porozmawiać o moim zamiarze poślubienia pani Brown i poprosić wielebnego o wszczęcie przygotowań do ślubu tak szybko, jak to jest możliwe.

Marianne nie wiedziała, które z nich - wielebny Johnson czy ona - jest bardziej zaszokowane. Tymczasem pan na Bellfield podszedł do niej, wziął ją za rękę, którą ścisnął bardziej porozumiewawczo niż z uczuciem, i zwrócił się do niej znacząco:

- Dobrze, że tu jesteś, moja miła. Mówiłem ci, że nie możemy zwlekać z powiadomieniem o naszych planach, bo ludzie błędnie ocenią sytuację.

- Chcecie się pobrać?

Twarz wielebnego zrobiła się purpurowa, a Marianne pomyślała, że pewnie rozzłościł go fakt, iż nie będzie mu dane potępić ich z ambony.

- Wielebny jest pierwszą osobą, której o tym mówię, i wiem, że mogę liczyć na położenie kresu wszelkiej plotce.

- Kiedy... kiedy ma się odbyć ten ślub, jeśli można wiedzieć? - spytał zbity z tropu pastor.

- Tak szybko, jak to możliwe. Oczywiście pragnąłbym, żeby ślub odbył się przed Bożym Narodzeniem, byśmy je mogli świętować jako mąż i żona. A teraz proszę nam wybaczyć, ale chcielibyśmy z narzeczoną omówić kilka spraw. Panowie znacie drogę do wyjścia.

Gdyby Marianne nie była w szoku, roześmiałyby się na widok oburzonej miny wielebnego Johnsona.

Ledwie za głęboko urażonym duszpasterzem oraz za pracownikami fabryki zamknęły się drzwi, Marianne zwróciła się do chlebodawcy, by żądać wyjaśnień, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, porwał ją w ramiona i zaczął całować tak namiętnie i zapamiętale, że przestała się bronić.

Kiedy w końcu ją puścił, drżała tak bardzo, że prawie oparła się na nim, zamiast się od niego odsunąć.

- Ja... pan... my... Nie może się pan ze mną ożenić... - wydusiła wreszcie.

- Nie mogę postąpić inaczej, pani Brown, zwłaszcza po tak haniebnym potraktowaniu pani osoby. Bo co do tego jesteśmy oboje zgodni, nieprawdaż? Czyż nie wykorzystałem pani w najobrzydliwszy sposób, zmuszając do zbliżenia, na co nie pozwoliłby sobie żaden mężczyzna, który nie ma wobec kobiety poważnych zamiarów?

- To prawda, pocałował mnie pan - przyznała Marianne. - Ale...

- Ten pocałunek był zaledwie zapowiedzią naszych zaręczyn - odparł łagodnie. - Do zbliżenia, które mam na myśli, doszło w moich ramionach, w moim łóżku, kiedy...

Splonęła rumieńcem. Zasłoniła uszy i potrząsnęła głową.

- Nie życzę sobie o tym rozmawiać - powiedziała ze złością. - Najlepiej o tym zapomnijmy.

W jednej chwili zmienił się wyraz jego twarzy i w oczach pojawił triumfalny błysk.

- A więc to się naprawdę zdarzyło, to nie był wytwór mojej chorej wyobraźni! No cóż, pani Brown, nic na to nie poradzimy. Jesteśmy na siebie skazani i nie pozostaje nam nic innego, jak oddać nasze ciała i grzechy świętej instytucji małżeństwa. Nie wątpię przy tym, że wielebny Johnson będzie pierwszy, który je usankcjonuje.

Czyżby kpił sobie z niej? Wszystko na to wskazywało.

Nie mogła zebrać myśli. Z jednej strony - tak, musiała to przyznać - niczego bardziej nie pragnęła, jak połączyć się z kimś, komu oddała już serce, i zostać jego żoną. Z drugiej zaś miała przykrą świadomość, że go oszukała, zataiła przed nim prawdę.

- Pan nie myśli poważnie o poślubieniu mnie, panie Denshaw. - To było wszystko, na co się zdobyła, zanim zaczęła odsuwać się od niego.

- Mówisz tak, bo nie wierzysz, że chcę mieć ciebie za żonę, ale nic nie mówisz o swoich uczuciach do mnie, pani Brown, z czego wnioskuję, że sama nie masz nic przeciwko temu.

Na zmianę czerwieniła się i bladła.

- Ja... jestem pańską gospodynią, proszę pana. Służącą. Oczywiście...

- Oczywiście mi nie odmówisz i będziesz panną młodą. Czy to chciałaś powiedzieć? Zrozum wreszcie, że nie zamierzam poślubić uniozonej pani Brown, wdowy z dzieckiem na wychowaniu. Nie, chcę poślubić wspaniałą kobietę, która nie zawahała się pójść w moje ramiona, w moim łóżku, z tak słodkim zapamiętaniem!

- Panie Denshaw...

- Heywood, Marianne. Mam na imię Heywood i nawet nie wiesz, jak strasznie pragnę usłyszeć je z twoich ust...

Słowa te zachwyciły Marianne i przyprawiły o zawrót głowy, a gdyby teraz wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka, nie umiałaby mu niczego odmówić.

- Więc pragnie pan... pragniesz... Heywood, ożenić się ze mną... pragniesz uczynić mnie swoją żoną? - Głos jej drżał, wszystko się w niej trzęsło z ogromu uczucia i nadziei.

- Tak, literalnie tak.

- Przecież dopiero się poznaliśmy. Prawie mnie nie znasz.

- Uratowałaś mi życie, a także jesteś dobrą matką - rzekł z powagą, a potem dodał z żartobliwym uśmiechem: - Wiem też, że jesteś świetną gospodynią.

Serce Marianne zrobiło się ciężkie jak kamień.

- Muszę panu... muszę ci...

- Jak ma na imię dziecko?

- Miles... - odpowiedziała opanowanym tonem, choć nie przyszło jej to łatwo.

- Miles...

Wiedziała, że na nią patrzy, ale sama nie odważyła się na niego spojrzeć. Czuli się winna i było jej ogromnie wstyd. Jakże żałowała, że nie była z nim szczerą od samego początku. Jakże ciężko będzie teraz powiedzieć mu o wszystkim.

- Otrzymał imię po ojcu - dodała niemal szeptem.

W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał, tak że Marianne mogła słyszeć nieregularne bicie swojego serca.

Musi mu powiedzieć.

- Proszę pana... to znaczy Heywood... jest coś, o czym...

- Poczekaj, widzę, że przyszedł Archie Gledhill. Czy mogłabyś, kochanie, wprowadzić go tutaj? O ile się nie mylę, ma dla mnie ważne wiadomości.

Potulnie pokiwała głową. Widać jeszcze nie przyszła pora na wyznanie prawdy i zrzucenie z siebie ciężaru.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pozostały dwa dni do ślubu, a za następnych siedem były święta Bożego Narodzenia. Na radość i szczęście Marianne kładł się cień strachu. Tyle się zdarzyło od wizyty pastora Johnsona, że ledwie to mogła ogarnąć.

Majster wydał polecenia i w ciągu paru dni Marianne otrzymała nie tylko wyprawę ślubną, ale też damę do towarzystwa w postaci przemilej kuzynki Heywooda, starszej pani, która w tym celu opuściła swój piękny dom w Harrogate i miała wyjechać z Bellfield Hall dopiero po ślubie.

Marianne musiała się przenieść z klitek dla gospodyni do dużego pomieszczenia na pierwszym piętrze, po przeciwnej stronie sypialni pana domu. Pokój był ślicznie urządzone i Marianne wcale nie była zdziwiona, kiedy przyzwoitka wyjaśniła, że należał kiedyś do podopiecznej Heywooda.

- Taka piękna dziewczyna. Heywood był zrozpaczony, kiedy ona i chłopak stąd wyjechali. To prawdziwy dramat, że wtedy nie udało się ich odnaleźć - powiedziała dość tajemniczo. - Co za tragedia, że żadne z nich nigdy nie zostało odnalezione.

Marianne w milczeniu pokiwała głową, ale wspomnienie tamtej rozmowy nie dawało jej spokoju.

Heywood był uosobieniem wszystkiego, czego od przyszłego męża może pragnąć zakochana młoda kobieta, dlatego Marianne nie miała nic przeciwko

temu, kiedy po uroczystym lunchu leciwa przyzwoitka udała się do swojego pokoju na drzemkę.

Skradzione pocałunki były takie słodkie, a intymne pieszczoty jeszcze słodsze. Marianne drżała z rozkoszy na samo wspomnienie mocnej, ciepłej dłoni na swojej piersi i tulących ją silnych, męskich ramion.

Nie dalej jak wczoraj, kiedy Heywood trzymał ją w ramionach, prosił zdławionym głosem:

- Powiedz, że mnie kochasz, Marianne.

- Przecież wiesz - wyszeptała.

- Tak, wiem - przyznał z uśmiechem, a jej serce nabrzmiało ze szczęścia.

- Wiedziałem to już tamtego wieczoru, kiedy pierwszy raz cię pocałowałem, ale uwielbiam słuchać, jak wypowiadasz te słowa.

- Kocham cię, Heywoodzie - powiedziała mu wtedy, śmiejąc się lekko, ale przestała się śmiać, gdy ją pocałował.

Kiedy wyzna mu prawdę, zostaną jej przynajmniej te cenne i cudowne wspomnienia...

Było jej ciężko na sercu. Czowała się nie w porządku. Przecież nie pójdzie z nim do ołtarza, mając nieczyste sumienie.

Była czwarta godzina, przyzwoitka spała. Heywood, którego rana zagoiła się na tyle, że mógł z łatwością pokonywać schody, przebywał teraz w bibliotece. Również Miles spał pod opieką młodej niani, którą Heywood kazał zatrudnić.

Marianne nerwowym ruchem poprawiła włosy i odetchnęła głęboko.

Kiedy weszła do biblioteki, narzeczony siedział przy biurku i przeglądał papiery.

- Jest coś... o czym muszę porozmawiać, ale nie chciałabym zakłócać twojego spokoju...

Urwała, gdy narzeczony roześmiał się i podszedł do niej.

- Zawsze zakłócasz mój spokój, najdroższa, i to w najbardziej rozkoszny sposób, lecz jeśli zyczysz sobie omawiać ponownie swój plan podarowania prezentu bożonarodzeniowego każdemu dziecku w całym Rawlesden...

- Nie każdemu dziecku, mój drogi, tylko dzieciom tych, którzy u ciebie pracują - sprostowała.

- Tuzin czy setka, prawdę mówiąc, nie sprawia mi to wielkiej różnicy, dopóki tak słodko uśmiechasz się do mnie, najdroższa. Wprost nie mogę uwierzyć, że już za dwa dni będziesz naprawdę moja.

Cichy głos podszeptał jej, że na wypadek gdyby miała go stracić, powinna już teraz zapewnić sobie ten cudowny i jedyny skarb od niego. W końcu czy nie przyrzekała sobie, że powie mu o wszystkim, zanim wezmą ślub, a nie zanim mu się odda?

Heywood, który chyba wyczuł, że musi trzymać w ryzach emocje ich obojga, delikatnie wypuścił ją z ramion.

- Oczywiście, że nigdy mi nie przeszkadzasz, Marianne. Zresztą przez ostatnie pół godziny nie robiłem nic innego, tylko zastanawiałem się, czy nie upłynęło już zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio cię widziałem.

- Jedliśmy razem lunch - przypomniała z uśmiechem.

- Och, to było wieki temu! - Kiedy nie zareagowała, spoważniał i przyjrzał się jej uważnie. - Wyglądasz na zmartwioną. Jeśli ktoś zrobił ci przykrość...

- Nie... ale... prawda jest taka, że mam powód do zmartwienia, ponieważ... - Odsunęła się od niego i zaczęła przemierzać pokój. - Prawda jest taka - powiedziała ze ściśniętym gardłem - że zachowałam się wobec ciebie nieuczciwie.

- Nie kochasz mnie?

- Kocham i nigdy nie przestanę. Kocham cię z całego serca i to się nigdy nie zmieni - zapewniła żarliwie.

- A zatem na czym polega ta twoja nieuczciwość?

Zagryzła wargi.

- To długa historia - zaczęła łamiącym się głosem - i...

- Która zaczyna się od tego, że pewna młoda i obdarzona czułym sercem kobieta zgodziła się poślubić młodego, umierającego mężczyznę, by spełnić jego ostatnie pragnienie - podpowiedział Marianne, która wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- To ty wiesz... Ale...

Potrząsnął głową i kontynuował, nie dopuszczając jej do głosu:

- Kiedy w wyniku nieszczęśliwych okoliczności znalazłaś się w przytułku, zaprzyjaźniłaś się tam z inną młodą kobietą, która wyznała ci, że uciekła z domu ze swoim ukochanym. Zamierzali się pobrać, ale prawa natury i gorąca miłość okazały się tak silne, że dziewczyna zaszła w ciążę. Niestety byli bez pieniędzy i środków do życia, więc stali się obiektem zainteresowania władz miasta, a w rezultacie odesłano ich do przytułku dla ubogich, gdzie, zgodnie z obowiązującym tam zwyczajem, zostali rozdzieleni. Ona znalazła się w części dla kobiet, on w oddziale dla mężczyzn, tyle że jemu udało się zdobyć pozwolenie na wyjście i na szukanie pracy. Przerazona dziewczyna, samotna i w ciąży, zwróciła się do ciebie, czyniąc cię swoją powiernicą i przyjaciółką. Mijały tygodnie i miesiące. Młoda kobieta bardzo podupadła na zdrowiu, mimo że robiłaś wszystko, co w twojej mocy, by zdobyć dla niej dodatkowe porcje jedzenia, a także oddając własne, kiedy zaczął się poród. Rodziła długo, w potwornych bólach, a wydanie na świat dziecka przypłaciła życiem. Maleńki chłopczyk też by umarł, gdybyś się nim nie zaopiekowała, postępując wbrew regulaminowi przytułku. - Przerwał na moment, poruszony swoją opowieścią. -

Byłaś zdesperowana, wiedziałaś, że mogą zabrać ci dziecko i umieścić je w sierocińcu. I wtedy w przytułku zjawiał się młody człowiek, który szukał tej młodej kobiety. To był jej ukochany, któremu w końcu udało się znaleźć pracę na farmie. Praca była ciężka, a dni długie, ale wreszcie udało mu się zgromadzić dość pieniędzy, żeby przyjechać po nią. Kiedy powiedziałaś mu o tragedii, ogarnęła go bezgraniczna rozpacz, ale miał teraz syna, dla którego musiał żyć. Zapytał cię, czy nie udałabyś się z nim na farmę, gdzie pracował i na której zbudował nieduży dom. - Znów przerwał na moment. - Z miłości do zmarłej przyjaciółki zgodziłaś się. Wkrótce on też zachorował, a wiedząc, że jego dni są policzone, poprosił, żebyś dla dobra i bezpieczeństwa dziecka wyszła za niego za mąż. Zgodziłaś się, nie potrafiłaś odmówić tak niezwyklej prośbie umierającego. Kiedy był bliski skonania, opowiedział ci o swoim dzieciństwie i domu. Błagał, żebyś zabrała tam dziecko i oddała je osobie, u której, jak uważał, synek powinien zostać. Obiecałaś mu, że to zrobisz, jednak niedługo potem usłyszałaś bulwersujące historie o okrucieństwie tej osoby. Postanowiłaś zatem nie ujawniać tożsamości dziecka, dopóki sama nie upewnisz się, że znajdzie się w dobrych rękach.

Marianne nie mogła milczeć dłużej.

- Więc wiedziałaś, ale nic mi nie... Jak mogłeś...? Od kiedy...? Ja...

- Wiedziałem od pierwszego... a nawet wcześniej. Gdybyś tak nie zwlekała i przybyła dzień wcześniej, moi agenci by cię znaleźli i przywieźli tutaj.

- Twoi agenci? Nasłałeś na mnie kogoś? - przestraszyła się.

Z jego oczu wyzierały ból i smutek.

- Nie dziwię się, że po tym, co o mnie usłyszałaś, musiałaś przekonać się osobiście, jakim jestem człowiekiem. Rozumiem twoją rozterkę i wiem, jak trudno było ci przyjąć do wiadomości, że troszczyłem się o mojego pasierba i

oddaną pod moją opiekę dziewczynę, a potem zrobiłbym wszystko, żeby ich odnaleźć i bezpiecznie sprowadzić z powrotem do domu. Miałem nadzieję, że zobaczysz tę drugą stronę mojej natury, a nie tę, którą opisał ci Milo.

- Nie, nie mów tak. To prawda, że po ucieczce Milo i Amelia byli rozżaleni i czuli się skrzywdzeni. Myślę, że Amelia bardziej niż on.

- Tak, ona była stanowcza i bezkompromisowa.

- Bała się, że będziesz chciał ożenić Mila z inną kobietą. Wiedziała, że nie wniesie posagu do małżeństwa i dlatego skłoniła Mila do ucieczki.

Natomiast on zachował o tobie jak najlepsze wspomnienia. Dopiero gdy w ostrych słowach sprzeciwiłeś się jego zaręczynom z Amelią, poczuł się zawiedziony i zły na ciebie. A działo się to wkrótce po tym, jak stracił matkę.

- Byli tacy młodzi, wiedziałem też, że Lucinda, która odgadła, co się święci, chciała, żeby zaczekali, aż będą starsi i wystarczająco pewni swoich uczuć. Mam żal do siebie, że nie przeprowadziłem z Milem dłuższej rozmowy na ten temat, ale miałem w tym czasie poważne kłopoty w fabryce. Robotnicy w innych zakładach strajkowali, a ja uczestniczyłem w ważnych spotkaniach w Manchesterze. Oczywiście czułem się winny i bardzo ciążyła mi świadomość, że nie mogłem być przy porodzie Lucindy. Podobnie jak w moich stosunkach z Milem, zabrakło uwagi i czasu na szczerą rozmowę, czego gorzko żałuję.

Wszystkim nam w rodzinie zabrakło opanowania i kojącej ręki Lucindy. Była dobrą kobietą. Wbrew temu, co mówiono o mnie i o powodach, dla których się z nią ożeniłem, szanowałem ją i bardzo lubiłem, nawet jeśli jej nie kochałem tak... tak jak mężczyzna kocha kobietę swego życia.

Zapadło milczenie. Marianne poczuła łzy pod powiekami.

- Gdy tylko dowiedziałem się o ich wyjeździe - podjął po chwili Heywood - próbowałem ich odnaleźć, ale zatarli za sobą ślady, występując pod zmienionymi imionami i nazwiskami. Milo podawał się za Browna. W końcu,

kiedy wpadliśmy na ich trop, było już za późno. Jedyne, co mogli przekazać mi agenci, to wiadomość, że mój pasierb wziął na łożu śmierci ślub z młodą kobietą, niejaką Marianne Westall, której powierzył swoje dziecko. Kazałem im nawiązać z nią kontakt i uprosić, żeby zgodziła się na spotkanie, ale wówczas znajdowałaś się już w drodze tutaj. Nie wiedząc, gdzie cię szukać ani jakie są twoje plany, kazałem agentowi, żeby cię śledził, ale zgubił trop w Rochdale. Zdaje się, że wynikła jakaś drobna kwestia z biletem kolejowym, czy tak?

- Tak właśnie było.

- Zadzwoił do mnie, powiedział, co się stało i poprosił o dalsze instrukcje. Wydedukował bowiem, że możesz być w drodze do Bellfield. Z tego, co mówił na twój temat, wynikało, że jesteś młodą kobietą o wielkiej odwadze i harcie ducha, a do tego osobą niezwykle lojalną i uczciwą. Słuchając tego wszystkiego, zdałem sobie sprawę, że coraz bardziej pragnę poznać tę młodą kobietę. W końcu miałem takie wrażenie, że naprawdę ją znam, że znam słodki, choć poważny wyraz jej twarzy, a także jej wrażliwość i zainteresowanie losem słabych i skrzywdzonych. Może byłem głupi, ale zacząłem nawet myśleć, że przyniesie mi nie tylko to dziecko, którego miejsce jest tutaj i dzięki któremu będę mógł odkupić popełnione wobec pasierba i podopiecznej winy, ale że również wniesie ciepło i śmiech, a także miłość do tego smutnego domu. Jednym słowem wszystko to, czego tu tak bardzo brakuje.

Żelazna obręcz ścisnęła gardło Marianne, odjęło jej mowę, a kiedy ją odzyskała, zdobyła się tylko na tyle:

- Wiedziałaś, że tu będę, ale nie zdradziłaś się ani słówkiem, gdy się zjawiłam? Sądziłam, że zaraz każesz mi się wynosić. Bałam się...

- Przyznaję, że początkowo nie zdałem sobie sprawy, kim jesteś... dopiero gdy zobaczyłem dziecko... ale wtedy już doszło między nami do

sprzeczeki, a skoro sama nic na ten temat nie powiedziałaś...

- Chciałam, ale najpierw musiałam mieć absolutną pewność. Przecież chodziło o dziecko Mila. - Głos jej się załamał. - Wybacz mi, powinnam była ci zaufać... zwłaszcza odkąd cię pokochałam, choć wtedy było mi jeszcze trudniej to powiedzieć.

- Najdroższa, nie płacz. Powinienem wcześniej wyłożyć karty na stół i zrobiłbym to, gdyby nie mój wypadek.

- I naprawdę nadal mnie kochasz? Pomimo...

- Mój ty skarbie, podziwiam cię za to, co zrobiłaś! Wiedziona sercem, zachowałaś się z wielką determinacją i odwagą, a przy tym bardzo mądrze. Wiedz też, że nie istnieje nic ani na tym, ani na innym świecie, co mogłoby zabić moją miłość do ciebie.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś nic o Milesie?

- A ty?

- Bałam się, że to może coś zmienić między nami, a przez to utracę twoją miłość.

- Czułem to samo. Lękałem się, że nie do końca mi uwierzysz, a przecież dobro Mila zawsze leżało mi na sercu. Domyślałem się, że Milo i Amelia zwierzyli ci się ze swojej tajemnicy, wiedziałem też, że w mieście wciąż krążą o nich plotki.

- Ludzie mówią, że nie pozwoliłeś im się pobrać, bo chciałeś mieć Amelię dla siebie. Ale z tego, co mówiła mi o tobie, wiem, że to nie mogła być prawda.

- Wiesz, wszystko bym dał, by móc cofnąć czas i odwołać moje ostre i raniące słowa.

Marianne podeszła i położyła palce na wargach Heywooda.

- Cii, nie oskarżaj się, kochany. Prawda jest taka, że Milo chciał wrócić do domu, ale Amelia błagała, by tego nie robił. W przeciwieństwie do niego nie wierzyła, że możesz ustąpić i zgodzić się na to, aby byli razem. Wiem od Mila, że prosił ją, by mu pozwoliła zwrócić się do ciebie o pomoc, ale do niej nic nie docierało. Groziła, że popełni samobójstwo, jeśli tak zrobi. Myślę, że w gruncie rzeczy najbardziej bała się pastora Johnsona.

Heywooda zasepił się.

- On i ten nędznik Hollingshead są odpowiedzialni za całe zło i nieszczęścia, które nastąpiły. Pierwszy dlatego, że ciska gromy i straszy gniewem bożym płec niewieścią za jej naturalne skłonności do okazywania miłości, a drugi dlatego, że wbrew etyce lekarskiej bez skrupułów i z wyrachowaniem zabija owoce tej miłości. Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym ich z miasta.

- Milo powierzył mi list do ciebie. Mam go w moim pokoju. Wyjaśnia w nim wszystko i... i prosi cię o wybaczenie. Błaga też, żebyś pokochał jego dziecko. - Chciała udać się po list, ale zatrzymał ją i przyciągnął do siebie.

- Nie ma takiej potrzeby. To ja powinienem błagać go o wybaczenie i zrobiłbym to, gdyby to było możliwe. A jego dziecko będę traktował i wychowywał jak własne. Matka Mila wpłaciła jego spadek na fundusz inwestycyjny, który teraz przechodzi na Milesa. Gdybym mógł, podziękowałbym z całego serca Milowi i Amelii za przysłanie mi ciebie, moja najdroższa. To będzie najszczęśliwszy dzień w moim życiu, gdy wreszcie zostaniesz moją żoną.

- Czuję się zaszczycona, że zostanę panią na Bellfield - wyszeptała Marianne, po czym nagle zeszywniała, kiedy przypomniała sobie, że jednak nie wszystko powiedziała.

- Co się stało?

- Jest jeszcze coś, czego... co powinnam... Prawda jest taka, że kiedy pobraliśmy się z Milem, on... W rzeczywistości nigdy nie zostałam jego prawdziwą żoną - dopowiedziała cichutko. - Więc obawiam się, że... że ja... - Opuściła wzrok, majstrowała przy jednym z guzików jego koszuli. - Zdaję sobie sprawę, że z mojego... zachowania w pewnej sytuacji mogłeś wywnioskować, że mam pewne doświadczenie, ale rozczarujesz się, kiedy...

Jego głośny śmiech sprawił, że zbita z tropu zaniemówiła.

- Najdroższa, ukochana dziewczyno, cóż to za uroczy absurd! Przecież wiedziałem od samego początku, że choć podajesz się za mężatkę i powołujesz na metrykę ślubu, wciąż jesteś niewinna. Poznałbym to i tak po sposobie, w jaki drzysz i wzdychasz przy moim najlżejszym dotyku, a także po nieśmiałym i trwożnym spojrzeniu w najbardziej intymnych momentach. Ale nawet bez tych oczywistych oznak rozpoznałbym niechybnie, że jesteś niewinnym dziewczęciem choćby po tym, jak się oburzyłaś, że śpiam nago.

- Naprawdę byłam zgorszona.

- Mam co innego na myśli - zażartował Heywood, a ona zaczerwieniła się, kiedy objął ją mocno i zaczął zapamiętale całować.

W Wigilię Bożego Narodzenia nowa pani na Bellfield zajmowała się tym, czym w tym okresie zajmuje się cała pleć piękna, a mianowicie szykowała dom na uroczystości świąteczne.

Piekły się szynki, kupiono i oskubano drób, który powieszono, żeby kruszał, kupiono także puddingi, bowiem w tym roku zabrakło czasu na ich przyrządzenie domowym sposobem. Kilka starszych córek robotników pana na Bellfield, ubranych w piękne sukienki ze szkockiej kraty i w białe fartuszki, pośpieszyło, by okiełznać radosne podniecenie młodszego rodzeństwa

zgromadzonego w holu wokół przepięknie udekorowanej choinki, tak bardzo wysokiej, że anioł na czubku dotykał sufitu, i tak rozłożystej, że ledwie starczyło miejsca dla zgromadzonej dzieciarni, która podziwiała drzewko.

- Tylko spójrz na nich, Heywood - szepnęła Marianne do męża, przyglądając się młodym gościom z ukrycia na galeryjce. - Okazałeś gościnną wielkoduszność, zapraszając ich wszystkich.

- Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla ciebie, mój skarbie.

- Owszem, nie włożyłeś szaty i brody świętego Mikołaja, które uszyłam - przypomniała żartobliwym tonem.

- Tak... To dlatego, że nie chcę pozbawić Archiego przyjemności wystąpienia w tej roli - odrzekł przekornie. - Czy już mówiłem ci dzisiaj, jak bardzo cię kocham, najdroższa Marianne? - Pochylił się w jej stronę.

- Patrzcie, pan całuje panią! - zawołał z dołu jakiś bystry malec.

Było za późno, by temu zaprzeczyć. Pan na Bellfield i jego żona zostali poproszeni o zejście na dół, gdzie wśród wiwatów dziękowano im za wspaniałomyślność. Nie obeszło się też bez uścisków i pocałunków.

Marianne uśmiechnęła się do siebie. Oczywiście było jeszcze za wcześnie, by to wiedzieć, ale przeczuwała, że w następne Boże Narodzenie będzie już matką i wówczas ofiaruje mężowi bardzo szczególny gwiazdkowy prezent.

W zatłoczonym holu majster wzniosł kieliszek bożonarodzeniowego ponczu i zawołał:

- Uczcijmy ten święty dzień. Wznieśmy toast za pana na Bellfield i za jego małżonkę. Niech im Bóg błogosławi.

- Szczęśliwa? - szepnął Heywood żonie do ucha.

- Jakżeby inaczej, skoro jestem z tobą - odpowiedziała czule.